NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. **W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.**

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 13 sierpnia 1910. Nr. 33.

Napad bandycki na Śląsku.

(Treść na str. 2).



Napad bandycki na Śląsku.

(Do illustracyi tytułowej).

Metoda bandyckich napadów, tak często stosowana w granicach Królestwa Polskiego, gdzie mimo usilnych starań i społeczeństwa samego i władz, niepodobna jej wykorzenić, przeniosła się i do innych krajów, zwłaszcza do tych, których granice przytykają do Królestwa. Bandytom bowiem z Królestwa najłatwiej tam się przedostać i najłatwiej po spełnieniu zbrodni umknąć.

Widownią ostatniego rabunkowego mordu była miejscowość Gruszów na Śląsku austryackim, gdzie popełniono zbrodnię na osobie kasyera miejscowej fabryki sody. Kasyer ten, nazwiskiem Józef Trupka, szedł w ubiegłą sobotę drogą do fabryki, niosąc pieniądze, przeznaczone do wypłaty robotników. Droga prowadziła przez ulicę, zabudowaną samemi willami i zwykle w porze południowej dość ożywioną.

W połowie tej ulicy zatrzymały idącego tamtędy kasyera dwa indywidua, żądając w kategoryczny sposób wydania wszystkich pieniędzy. Równocześnie jeden z rabusiów wyjął rewolwer i zagroził, że w razie najmniejszego oporu będzie strzelał. Mimo to kasyer usiłował się bronić i wołał o pomoc, a wówczas rabuś dał trzy strzały, a równocześnie drugi zdarł z niego torbę z pieniądzmi.

Strzały bandyty były celne, kasyer upadł na ziemię, zraniony śmiertelnie. Pierwsza kula zdruzgotała szczękę dolną, druga przebiła podniebienie, trzecia wreszcie utkwiła w łopatce. Sprawcy mordu natychmiast umknęli z łupem.

Pościg jest bardzo utrudniony, ponieważ brak zupełnie rysopisu sprawców. Zrabowali oni 1500 koron i z tem prawdopodobnie umknęli na Śląsk pruski, którego granicę mieli najbliżej.

Kasyer Trupka zmarł wnet po zamachu, mimo rychłej pomocy lekarskiej.



Straszny wybuch w Warszawie: Ruiny facyatki. Poniżej spalony trup konia (X).

Przesilenie w Hiszpanii.

Sytuacya polityczna w Hiszpanii, sytuacya, która przedstawiała się w ubiegłym tygodniu bardzo groźnie, tak iż wojna domowa zdawała się nieunikniona, poprawiła się w ostatnich dniach znacznie, a to głównie dzięki zdecydowanemu stanowisku rządu. Prezydent ministrów Canalejas, widząc, że agitacya stronnictw klerykalnych przybiera coraz większe rozmiary i gotowa doprowadzić do poważnych zaburzeń, któreby mogły nietylko pokrzyżować zamiary rządu, ale na długie lata uniemożliwić rozwój kraju, postanowił z całą energią wystąpić przeciw manifestantom i z pomocą wojska zgnieść wszelkie objawy rewolucyi.

Stanowcze i energiczne kroki ministra otrzeźwiły sfery klerykalne, które zaniechały demonstracyi i ograniczyły się na paru drobnych manifestacyach. Spokoju nigdzie nie zakłócono, we wszystkich miastach panował ład i porządek.

Najbardziej niebezpiecznie położenie ukształtowało się w San Sebastian, dokąd stronnictwo klerykalne ściągnęło mnóstwo ludności ciemnej a fanatycznej z bliskich i dalekich okolic. Zamierzano tam urządzić wielką demonstracyę antirządową. Siła zbrojna atoli, jaką rząd nagromadził w San Sebastian, odebrała demonstrantom ochotę do wszelkich kroków.

Przebieg całego zatargu między rządem hiszpańskim, a Watykanem wskazuje, że po stronie prezydenta ministrów Canalejasa stoi nie tylko król, ale i ogromna większość ludności, zwłaszcza inteligencya.

Co do dalszego przebiegu zatargu między Hiszpanią a Watykanem, trudno dziś losy jego przewidzieć. Najprawdopodobniejszem jednak wydaje się przypuszczenie, iż Watykan uzna kroki rządu hiszpańskiego i nie zechce doprowadzić do ostatecznego zerwania stosunków dyplomatycznych z Hiszpanią. Wskazuje na to i ta okoliczność, iż mimo odwołania posła hiszpańskiego z Watykanu, Ojedy, nuncyusz papieski, msgr. Vico, przebywa dotąd w Madrycie. Z Rzymu nadeszły też wiadomości, iż ogólnie uważają sytuacyę w konflikcie między Hiszpanią a Watykanem, za lepszą, niż w ubiegłym tygodniu.



Przesilenie w Hiszpanii: Nuncyusz papieski na dworze hiszpańskim, msgr. Vico.



Straszny wybuch w Warszawie: Wóz (X), na którym leżały worki z celuloidem; wybuch ich spowodował katastrofę. (Do artykułu na str. 9).



Przesilenie w Hiszpanii: Poseł rządu hiszpańskiego w Watykanie Ojeda.

Otwarcie starostwa w Oświęcimiu.

(Do illustracyi na str. 8 i 9.)

W dziejach miasta Oświęcimia, położonego na zachodnim krańcu Galicyi, na pograniczu między Galicyą a Śląskiem pruskim, rozpoczęła się nowa era. Jest nią podniesienie Oświęcimia do rzędu miast powiatowych. W ubiegłym tygodniu otwarto tam uroczyście starostwo, które obejmie powiaty sądowe Oświęcim i Zator, wydzielone z dotychczasowych powiatów politycznych Biała i Wadowice.

Otwarcia starostwa dokonał w zastępstwie namiestnika delegat radca dworu Fedorowicz, po nabożeństwie w kościele farnym, odprawionem przez proboszcza ks. Szałaśnego. W otwarciu wzięli udział przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych z powiatu oświęcimskiego, wadowickiego i bialskiego, rady miast Zatora i Oświęcimia z burmistrzami na czele, oraz personal nowego starostwa.

Pierwszy przemówił ks. proboszcz Szałaśny, składając życzenia nowemu starostwu, by pracy jego towarzyszyło zawsze błogosławieństwo Boże. Następnie delegat Fedorowicz odczytał rozporządzenie cesarskie, powołujące do życia nowy urząd, a dalej wyraził nadzieję, że w starostwie oświęcimskiem panować będzie jak najlepszy duch administracyi politycznej. Nakoniec przemówił burmistrz Oświęcimia, Roman Mayzel, wyrażając podziękowanie i wdzięczność mieszkańców miasta z powodu kreowania tam starostwa, którego istnienie wpłynie dodatnio na podniesienie miasta.



Morderstwo polityczne w Krakowie: Zamordowany Stanisław Rybak.

Kierownikiem nowego starostwa mianowany został sekretarz namiestnictwa Ludwik Wykowski, który w czasie urzędowania w starostwie krakowskiem dał się poznać jako urzędnik bardzo zdolny i energiczny. Nowe, samodzielne stanowisko da młodemu kierownikowi sposobność do okazania wybitnych zdolności organizacyjnych i administracyjnych.

Morderstwo polityczne w Krakowie.

Niesłychana, niebywała u nas dotychczas zbrodnia dokonana została w ubiegły poniedziałek w samem śródmieściu Krakowa. Spełniono pospolite morderstwo pod osłoną pobudek rzekomo ideowych, politycznych, na wzór wielu podobnych wypadków w Królestwie. O ile jednak za kordonem tego rodzaju czyny można wobec powszechnego rozprzężenia wytłómaczyć, o tyle w kraju, rządzonym konstytucyjnie, wśród społeczeństwa kulturalnego, nie można ich tolerować, gdyż są jaskrawem naruszeniem prawa, porządku i etyki, przeciw czemu i władza i samo społeczeństwo muszą się jak najenergiczniej bronić.

Jak wspomnieliśmy, zbrodnię popełniono w samem śródmieściu Krakowa, mianowicie przy placu Maryackim obok kościoła N. M. Panny, między godziną 1 a 2 po południu. O tej porze przechodził placem Maryackim, od Rynku ku ulicy Szpitalnej, jakiś młody, skromnie odziany człowiek, a za nim krok w krok, jak gdyby śledząc tamtego, drugi, również młody człowiek, z zarzuconą na plecy peleryną. W chwili, gdy pierwszy znajdował się pod t. zw. „prałatówką“, kamienicą narożną ulicy Szpitalnej, padły nagle trzy strzały, wskutek których młody człowiek upadł zalany krwią na ziemię. Strzały owe dał idący za nim mężczyzna, który zobaczywszy, iż ofiara padła bez życia, rzucił się w ulicę Szpitalną, chcąc uciec. Zamiar ten jednak nie udał mu się, przechodnie bowiem, których w owej chwili mnóstwo było w pobliżu miejsca wypadku, a których zaalarmował huk wystrzałów i widok padającego człowieka, ujęli mordercę niezwłocznie i oddali w ręce policyi.



Morderstwo polityczne w Krakowie: Stanisław Rybak na miejscu zgonu.

Wezwane pogotowie ratunkowe stwierdziło tylko śmierć ofiary wskutek postrzału z browninga w głowę i zostawiło zwłoki na miejscu aż do chwili przybycia komisyi sądowo-lekarskiej, mordercę zaś odstawiono najpierw na inspekcyę policyi, a następnie do aresztów „pod telegrafem“, gdzie przystąpiono natychmiast do przesłuchania go.

Sprawca mordu zeznał, iż nazywa się Stanisław Trudnowski, liczy lat 23, jest rodem z Warszawy, synem ubogich rodziców, poddanym pruskim. Do Krakowa przybył niedawno i tu otrzymał rzekomo od narodowego związku robotniczego rozkaz zastrzelenia Stanisława Rybaka, przebywającego od lat paru w Krakowie a podejrzanego silnie o szpiegostwo i prowokatorstwo. Stosując się do tego rozkazu, głęboko przekonany o prawdziwości zarzutów, popełnił morderstwo, jak twierdzi, z pobudek ideowych.

Z kilkakrotnie zmienianych w pewnych szczegółach zeznań Trudnowskiego dowiedziano się o dotychczasowem życiu jego, co następuje: Urodzony 1887 w Warszawie, oddany został jako kilkunasto-



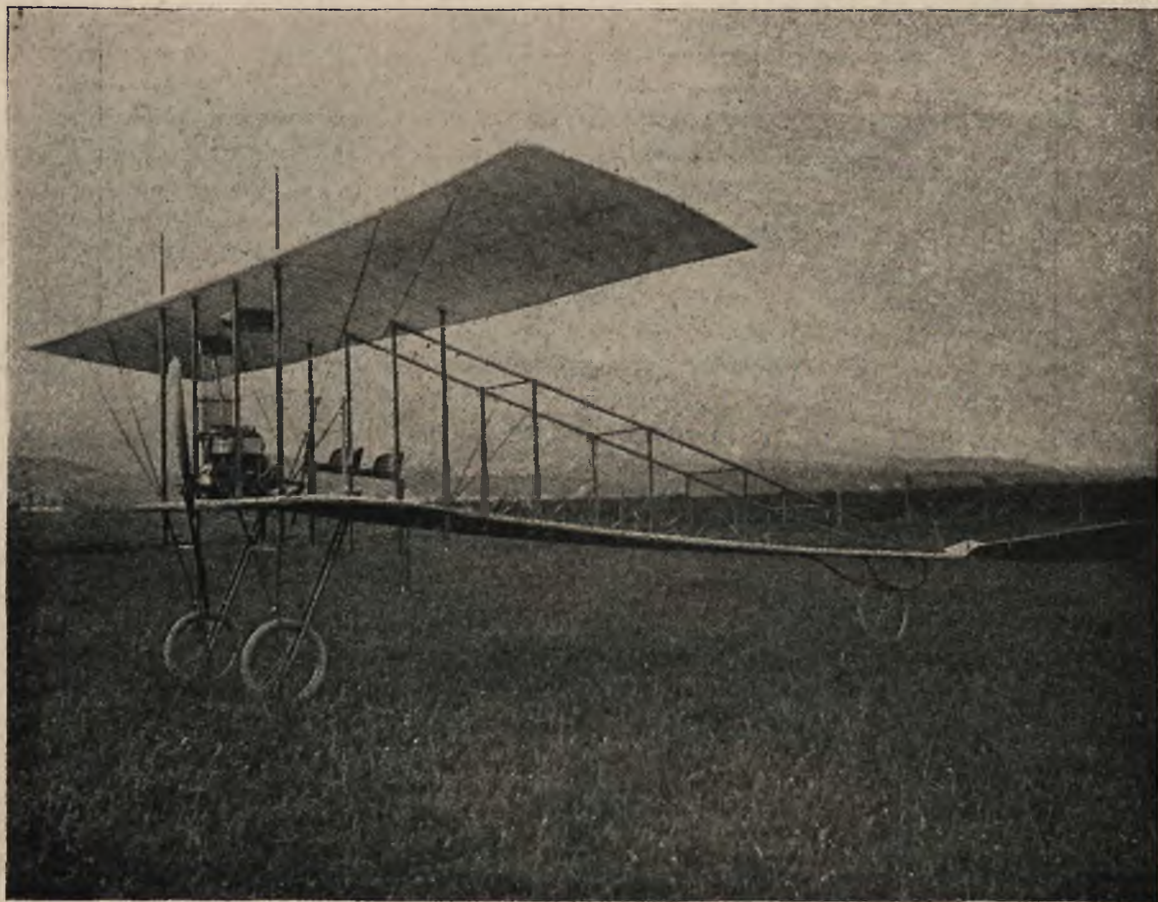
Morderstwo polityczne w Krakowie: Morderca Stanisław Trudnowski.

letni chłopiec do remizy tramwajów elektrycznych w Warszawie. W r. 1909 opuścił tę posadę, gdyż jako poddany pruski musiał wyjechać do poboru wojskowego w Bydgoszczy. Uwolniony na razie od służby wojskowej, powrócił do Warszawy, nie otrzymawszy jednak żadnego zajęcia, wyjechał znowu za granicę, mianowicie do Poznania i tam spędził



Polacy amerykańscy w Woli Dobrostańskiej: Grono Polaków z Ameryki w otoczeniu członków rady miasta Lwowa, z profesorem dr. Dziwińskim w pośrodku.

kilka miesięcy, poczem powrócił do Warszawy, gdzie dostał się do więzienia, gdyż podejrzany był o należenie do tajnego związku robotników narodowych. Wypuszczony na wolność z powodu braku dowodów, musiał jednak Trudnowski, jako obcy poddany, opuścić granice Królestwa i wówczas przybył do Galicyi. Osiadł w Krakowie i zamieszkał w Dę-



Nowy system aeroplanu: Dwupłaszczyznowiec systemu inżyniera Penckali.

bnikach. Zajęcia nie znalazł tu żadnego, więc wyjechał znowu do Prus na robotę i stamtąd wrócił w połowie lipca na obchód grunwaldzki.

W tym czasie miał właśnie otrzymać poufne zlecenie usunięcia Rybaka, który miał być szpiegiem i prowokatorem. Zeznał dalej Trudnowski, że Rybaka znał z widzenia z Warszawy, gdzie Rybak miewał wykłady dla robotników. Uchodził za człowieka porządnego i „inteligenta“. Dopiero pod koniec 1906 r. poczęły krążyć wśród robotników wiadomości, iż Rybak jest prowokatorem, czego jednak wówczas nie zdołano stwierdzić. Wnet potem wyjechał Rybak z Warszawy i przeniół się do Krakowa, gdzie podobno miał spełniać dalej swą haniebną rolę.

Dotąd jednak brak wszelkich dowodów, po za zeznaniami Trudnowskiego, obciążających Rybaka. Rybak przebywał w Krakowie od r. 1907, zajęty w biurach zarządu głównego T. S. L. Miał on posadę w centralnej składnicy, t. j. w oddziale wysyłki książek do czytelń. Za pracę swą pobierał najpierw 60 kor. miesięcznie, następnie 80 koron. Był urzędnikiem pracowitym i sumiennym, cieszył się też zupełnem zaufaniem, zwłaszcza że do wiadomości kierowników biura nie doszło o nim nic ujemnego. Z przeszłości Rybaka wiedziano w zarządzie głównym T. S. L. tyle, iż był w Warszawie nauczycielem w szkole miejskiej i należał do stronnictwa demokratyczno-narodowego, z którego ramienia pracował w kółkach narodowo-robotniczych.

Przeniósłszy się do Galicyi brał początkowo udział w życiu politycznem, również jako członek demokracyi narodowej. W ostatnich czasach jednak usunął się od ruchu politycznego. Był żonaty i ojcem jednego dziecka. Żona, chora piersiowo, przebywała corocznie po kilka miesięcy na świeżem powietrzu.

Wieść o morderstwie, popełnionem w biały dzień w śródmieściu Krakowa, wywołała wśród ogółu mieszkańców ogromne wrażenie, a przedewszystkiem oburzenie na sprawcę czynu. Wypadek to bowiem dotychczas u nas nieznany, by jednostka lub którakolwiek partya polityczna chwytała się tak niebezpiecznego, tak anarchicznego środka, jak samosąd. Niewątpliwie Rybak, jeśliby prawdą było, iż stał na usługach obcego rządu, iż spełniał funkcye szpiegowskie, był indywiduum niesłychanie marnem, godnem potępienia. Ale bez względu na to, nie może społeczeństwo nasze cierpieć wśród siebie samozwańczych „sędziów“, którzy z rewolwerem w ręku wymierzają sprawiedliwość i karę. Wszak ów Trudnowski to prawie analfabeta, nie mający dość jasnego pojęcia ani o stosunkach społecznych lub politycznych ani o etyce. W niedojrzały mózg jego wpakowano szereg pustych frazesów i popchnięto do czynu, z którego grozy i znaczenia on sobie zupełnie sprawy nie zdaje.

Za okropny ten czyn spotka go niewątpliwie surowa kara, ale stokroć ciężej powinni być ukarani ci, którzy wychowują takich bojowników sprawy, owi przywódcy partyjni, owi tajemniczy sędziowie ferujący wyroki przy zielonem biurku i posyłający je takim Trudnowskim do wykonania.

Miejmy nadzieję, że wypadek smutny, który w ubiegły poniedziałek rozegrał się w Krakowie, pozostanie odosobniony, że Trudnowski nie znajdzie naśladowców. Miejmy jednak nadzieję, że i szpiegów u nas nie będzie.



Komunikacya balonowa w Szwajcaryi: Balon pasażerski „Miasto Lucerna I“ podczas pierwszej jazdy z pasażerami.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

14 (Ciąg dalszy).

Było już wpół do ósmej, gdy dojechali do Zacisza. Lenormand, nie troszcząc się o swą towarzyszkę, zaczął rozpytywać portyera.

— Czy służąca pani Kesselbachowej, Gertruda, wróciła?

— Ależ Gertruda chyba wcale nie wychodziła, proszę pana. Ja jej nie widziałem.

— A jednak ktoś wrócił.

— O nie, proszę pana, nie otwierałem drzwi nikomu, od.. od godziny szóstej.

— A czy niema innego wyjścia, oprócz tych drzwi?

— Niema żadnego. Mur otacza całą posiadłość; wysoki mur.

— Pani Kesselbach — rzekł Lenormand — pójdziemy do pawilonu pani.

Poszli wraz z Hartogiem. Pani Kesselbach, nie mając klucza, zadzwoniła. Druga z sióstr, Zuzanna, ukazała się we drzwiach.

— Czy Gertruda w domu? — zapytała pani Kesselbach.

— Tak, proszę pani, jest w swoim pokoju.

— A widzi pani! — zawołała tryumfująco biedna kobieta.

— Niech jej panienka każe przyjść — rozkazał szef bezpieczeństwa.

Po chwili zeszła Gertruda, uprzejma i wdzięczna w swoim białym fartuszku z haftami. Lenormand obejrzał się na Hartoga.

— To ona! — potwierdził tamten szeptem.

— Bardzo mi przykro, proszę pani — zwrócił się szef do Dolores — ale w tem wszystkiem są pewne zbiegi okoliczności, które mi nakazują działać z pewną... szorstkością. Panienko, proszę mnię zaprowadzić do swego pokoju. Pójdź, Hartog.

Pokój, położony na pierwszem piętrze, oddzielony był ubieralnią od pokoju pani Kesselbach. Wygodny, wesoły, urządzony ze smakiem, nie zdradzał w tej chwili żadnego nieładu. Gertruda uśmiechnęła się.

— Ja nie wiem, proszę pana, czego sobie pan właściwie odemnie życzy, ale widzę, że mnie o coś posądzają... Czyby mi pan nie mógł powiedzieć...

Przerwała. Odezwał się dzwonek telefonu, a panu Lenormand wydało się, że widzi na twarzy Gertrudy pewne zmieszanie i jakiś niepokój.

— Nie odpowiada panienka na wezwanie?

— Owszem, zaraz, zaraz...

— Nie — rzekł, ujmując słuchawkę — lepiej będzie, jeżeli ja sam opowiem.

Przyłożył słuchawkę do ucha, szepcąc:

— Halo! Halo!

I posłyszał odpowiedź:

„Czy to ty, Gertrudo?“

— Tak!

„Czy wszystko dobrze się odbyło? Czy...“

Nie dokończono zdania. Czekał niespokojnie, ale że milczenie trwało, zaczął z kolei dzwonić. Dzwonił bez przestanku dwie minuty, trzy minuty, dzwonił z rosnącą wściekłością. Wszystko naprózno. Z biura w Garches nie przychodziła odpowiedź.

Spojrzał na Gertrudę. Była spokojna i znowu się uśmiechała.

— Aparat nie funkcyonuje! — rzekła.

— Jak się to dzieje, że telefon jest w tym pokoju?

— Pani nie cierpi hałasu, więc ja mam obowiązek prowadzić rozmowy.

Pan Lenormand przejrzał kilka papierów w biurku, przejrzał suknie w szafie i bieliznę w komodzie. Gertruda zachowywała się przy tych poszukiwaniach tak naturalnie, ze spokojem osoby tak pewnej swej niewinności, że pan Lenormand mimo swoich uprzedzeń, mimo wewnętrznego przeświadczenia i dwuznacznych słów przy telefonie, niespokojny był i niezdecydowany. Szepnął cichutko do Hartoga:

— Czy ty zupełnie pewien jesteś, że to ona?

— Szefie, czy widzi pan tam, na kominku, tę bronzową rękawiczkę nicianą, pogniecioną?

— Widzę. Coż stąd?

— To ta rękawiczka, którą ona podniosła z ziemi obok automobilu, nawprost pałacu sprawiedliwości.

II.

Choć twierdzenie Hartoga było stanowcze, nie dawało jednak panu Lenormand wystarczającego dowodu, na mocy którego należałoby mu uczynić jakiś krok nieodwołalny. Postanowił czekać jeszcze. Na dole zastał panią Kesselbach pod opieką Zuzanny; wziąwszy ją na bok, rzekł do niej:

— Błagam panią, niech pani mojej rady usłucha. Niech pani opuści swój pawilon, choćby na tę jedną noc i niech się pani przeniesie do głównego domu!

— Nie panie, ja się stąd nie ruszę. Wyglądałoby to, jak gdybym posądzała osobę, do której je stem przywiązana i która jest mi wiernie oddana. Tego nie zrobię za nic.

— Moim obowiązkiem jest przestrzedz panią, że tym uporem ściąga pani na siebie niebezpieczeństwo.

Wzruszyła ramionami znużona i obojętna.

— Więc niechże pani przynajmniej pozwoli, by jeden z moich ludzi spędził tu noc, w przedpokoju pani.

— Jeżeli panu na tem zależy...

Lenormand wydał surowe instrukcye Hartogowi:

— Zamknij drzwi za mną. Czuwaj z rewolwerem w ręku. Nie pozwól nikomu wyjść ani nikomu wejść.

Przed odjazdem obszedł ogród i upewnił się, iż niema innego wyjścia, jak tylko przez bramę. Tę bramę otwierał portyer na odgłos dzwonka. Chyba więc własnym kluczem posłużyła się Gertruda?... Rozmyślał nad tem, gdy bicykl ukazał się w cieniu i zeskoczył z niego Gourel.

— Szefie, automobil ich wyjechał z Paryża bramą Maillot. Ale był w nim już tylko człowiek w miękkim kapeluszu i panna bez kapelusza. Jej rysopis, który mi podano, zgadza się zupełnie z opisem Hartoga...

— To dobrze — rzekł pan Lenormand. To znaczy, że Ribeira i Steinweg zostali w obrębie Paryża. Pójdź Gourel, pójdziemy do biura pocztowego w Garches.

— Będzie temu z godzinę — rzekł Lenormand do urzędnika — zostałem wezwany z pawilonu Casanowas, ale połączenie zostało przerwane, zapewne przez pomyłkę.

— Przez pomyłkę? O nie panie! Gdyż wobec tego, że drugi abonent się użalał, robiłem, co mogłem, by przywołać nr. 54, ale 54 nie odpowiedział. Być może, że coś popsuto przy aparacie, może który drut jest przecięty...

Lenormand zadrżał.

— O szelma! to ona go pewnie za moimi plecami przecięła.

W towarzystwie Gourel'a p. Lenormad poszedł drogą do willi, zamieszkałej przez panią Ernemont i Genowefę. Babka zawołała Genowefę. Lenormand zwrócił się do niej:

— Czy wolno mi bez niedyskrecyi zapytać panią, co pani robiła dzisiaj po naszem spotkaniu się u nauczyciela, pana Landat?

— Niema w tem żadnej niedyskrecyi, proszę pana. Poszłam odwiedzić panią Kesselbach.

— Gertruda, panna służąca, czy była tam wtedy?

— Tak, ubierała swoją panią, która miała wyjechać.

— I wobec Gertrudy opowiedziała pani całą historyę z Ribeirą?

— Nie tak...

— I o anonsie w „Grand Journalu“ mówiła pani, o Steinwegu i mojem wyznaczonem z nim spotkaniu?

— Najdokładniej pamiętam.

Lenormand przeżegnał się.

— Idź naprzód, Gourel — rzekł, zapalając cygaro — idź do domu Piotra Leduc w Saint-Cloud. Dwaj bracia Dondeville powinni tam być. Ja was dogonię. Spędzimy tam noc.

Przyszedł w godzinę później i w pokoju, gdzie wszyscy czterej zgromadzeni byli razem, snuł dalej swoje rozmyślania.

— A więc to jasne. Gertruda jest wspólniczką dwóch bandytów, którzy kręcą się około sprawy Kesselbacha, czy to dla przejęcia owego planu, czy dla zdobycia milionów wdowy. Zapewne i druga siostra jest spólniczką spisku. Gertruda, wiedząc o tem, że mam się widzieć z Steinwegiem, podczas nieobecności pani swej leci do Paryża, uprzedza Ribeirę i tego drugiego w miękkim kapeluszu, zaciąga ich do pałacu sprawiedliwości i tam Ribeira porywa na swój rachunek imci Steinwega. Jak wraca, tego nie wiem, dość, że pokazuje mi się, gdy wracam z panią Kesselbach i podczas gdy ja przez telefon mam wydostać od Ribeiry słowo zagadki, ona z zimną krwią za moimi plecami przecina drut telefonu. Daj mi ognia Gourel.

Zapalił zgasłe cygaro i wnet je odrzucił, zapomniawszy palić.

— Wszystko to dowodzi: 1) jak wielką wagę morderca przywiązywał do Steinwega i jak się obawiał jego rewelacyi; 2) że prawdziwy spisek otacza osobę pani Kesselbach; 3) że nie mam czasu do stracenia, gdyż spisek dojrzały. A teraz śpijmy — dodał — bo ciężkie dni mam przed sobą.

Położyli się wszyscy. Nie minęła jednak godzina, gdy ręka szefa pobudziła ich wszystkich.

— Mie mam spokoju. Źle zrobiłem, zostawiając Hartoga samego na obronę pani Kesselbach. Gertruda musi się czuć zgubioną. Zrobi wszystko, co można, by uprzedzić swoich wspólników, i nie wiadomo, czego się obawiać należy. Wstawajcie!

Poszli wszyscy czterej bocznemi drogami w oświetleniu jasnego księżyca. Spotkali dwa wózki przekupniów jarzyn, a dalej nieco trzech ludzi, idących ze śpiewami, których pan Lenormand krótko przepytał i puścił. A dalej już spokój był i cisza pięknej, jasnej nocy, niezakłóconej żadnym odgłosem. I oto nagle w chwili, gdy wychodzili na drogę do Garches, spostrzedli dwóch cyklistów, pędzących bez latarek.

— Stój! — zawołał Lenormand.

Dwaj wspólnicy przechylili się naprzód gwałtownym wysiłkiem i sylwetki ich zarysowały się wyraźnie; mężczyzna to był i kobieta. Kobieta, słabsza, pozostała nieco w tyle. Towarzysz jej zwolnił, chwycił ją za ramię i pociągnął. Inspektorowie puścili się pędem i już byli tylko na odległość jakich dziesięciu kroków, gdy tamci ruszyli dalej.

— Stać, bo będę strzelał! — powtórzył Lenormand.

Odstęp się zwiększał. Rozległ się wystrzał; jednakże Lenormand tym razem strzelił tylko na wiatr. Odległość zwiększała się jeszcze, a ponieważ droga teraz zjeżdżała w dół, cykliści zdawali się ginąć z oczu...

— Naprzód, dzieci, naprzód! — wołał pan Lenormand, sam wyprzedzając swoich inspektorów — naprzód! złapiemy ich w drodze pod górę.

W istocie, zaczął się podjazd dość stromy i zaraz też ścigający zyskali na odległości. Pięćdziesiąt kroków... już tylko trzydzieści. Wzniesienie jednak było niewielkie, a od szczytu znowu zaczynał się spadek. Czy zdążą na szczyt? Ot już się ich dogania... już tylko dziesięć kroków najwyżej... Chwilę wahały się szale — i oto zniknęli za grzbietem pagórka. Gdy ich znów Lenormand zobaczył, odzyskali całą odległość poprzednią. Na traf wystrzelił raz, drugi i trzeci, choć wiedział, że są zbyt daleko. Wystrzały jednak nie były daremnie, gdyż kobieta, widocznie wystraszona niemi, lękając się pościgu kul, zjechała w bok, oddalając się od towarzysza. Chcąc odzyskać tor właściwy, zakręciła w prawo, potem w lewo i nagle upadła na przydrożną szkarpę. Zagrzmiały zwycięskie okrzyki. Ta już przynajmniej nie ujdzie. Ale teraz stało się coś dziwnego. Mężczyzna zeskoczył z roweru, przeszedł całą szerokość drogi, rzucił się na swą towarzyszkę, w chwili, gdy ta usiłowała powstać i przewrócił ją. Rozległ się krzyk straszny, krzyk mordowanego zwierzęcia... Mężczyzna powstał i skoczył na swój rower. Stało się to wszystko z błyskawiczną szybkością. Z bliska zupełnie pan Lenormand wystrzelił po raz czwarty. Naprózno... ręka mu drgnęła. Mężczyzna oddalił się — szczupła jego sylwetka zniknęła. Tuż przy ziemi słychać było ciche jęki i chrapliwy oddech dogorywania...

— Podaj mi twoją latarkę, Gourel... i wy poświeccie, bracia Dondeville!

Lenormand nachylił się. Tak, to była Gertruda. Krew ściekała po falbanach jej stanika...

— Och! — rzekł — rana... zawsze ta rana na szyi...

Oddychała jeszcze. Ogromnie delikatnie uniósł jej głowę, podparł ją ramieniem i pytał:

— Czy słyszysz mnie? Czy możesz mi odpowiedzieć?

Drgnęła. Ostatkiem sił chciała przemówić, prężyła się w pragnieniu zemsty na ohydnym wspólniku, który ją sobie z drogi usunął. Wargi jej wydawały jakieś sylaby, jakieś niezrozumiałe dźwięki... Nachylony nad nią, powtarzał:

— Proszę mówić... trzeba koniecznie powiedzieć...

Krwawa plama wystąpiła w kącikach ust. Parę drgawek wstrząsnęło ciałem. Nastąpiła nieruchomość. Twarz dziewczyny powlokła się śmiertelną bladością, uspokoiła się i złagodniała. Usta jednak bezwiednie poruszały się dalej, głos podniósł się nieco i parę sylab posłyszeć było można wyraźniej:

— Wil... willa... wil...

Jeszcze jeden kurcz szarpnął ciałem... Wyzionęła ducha.

III.

A pani Kesselbach! a Hartog! Bóg wie, co ci bandyci dotychczas zrobić mogli! Lenormand miał ochotę wyruszyć odrazu, albo dwóch towarzyszy odłączyć. Spostrzegł jednakże, że wyczerpani są nadmiernie. Upłynęła dobra godzina, zanim znaleźli zajazd, obudzili gospodarza i służbę i nim zaprzągłszy do wózka, złożyli na nim ciało. Nareszcie wśród nocy gromadka wolnym krokiem tępego konia dojechała do Garches. Konwój w najgłębszem milczeniu zajechał przed Zacisze. Uciszyli portyera, który zaczął wołać przerażony:

— Panna Gertruda!... Zabita!... Ale którędyż ona wyszła z domu?

Prosił, żeby inspektorowie nie wnosili ciała do pawilonu Cesarzowej, który zamieszkiwała pani Kesselbach.

— Biedna pani i tak chora... to będzie dla niej cios... Ona tak pannę Gertrudę kochała!... Nie! złóżcie panowie ciało w pawilonie obok, w pawilonie Hortenzyi, który jest pusty... Pani Kesselbach wynajęła go, by nie mieć sąsiadów, by mieć spokój w najbliższem sąsiedztwie. To też można, ma się prawo...

Lenormand nie słuchał, co portyer mówił. Szybko zmierzał ku mieszkaniu pani Kesselbach, z lękiem z każdym krokiem wzrastającym. Co się stało z młodą kobietą? Co się stało z Hartogiem? Zapukał. Posłyszał kroki i zgrzyt klucza w zamku. Krzyknął radośnie.

— Ach, to ty, Hartog! A pani Kesselbach?

— Dalibóg, szefie, nie widziałem jej. Śpi prawdopodobnie.

— Jakto?... ależ Gertruda?...

— Gertruda nie wychodziła ze swego pokoju.

— Nie słyszałeś nic?

— Nic, szefie.

Lenormand poszedł na górę do pokoju Gertrudy, przekonał się, że okno było otwarte i że drabinka sznurowa zwieszała się z balkonu. Przekonał się także, że słusznie posądził Gertrudę o przecięcie druta i już miał wychodzić, gdy odchyliły się drzwi sąsiedniego pokoju, to jest do ubieralni.

— Co się dzieje, Gertrudo?

Była to pani Kesselbach, w towarzystwie Zuzanny. Szepnęła, zmieszana obecnością pana Lenormand:

— Jakto?... z jakiego powodu?

— Z żadnego powodu, pani. Chciałem tylko wiedzieć, czy Gertruda jest u siebie. Nie ma jej, widzę.

— Musi być w domu... Gdzieżby być mogła?

— Poszła stąd.

— To niemożebne!

— Bardzo możebne. Proszę się przypatrzeć tej drabince sznurowej i proszę powiedzieć, czy to nie jest dowód winy dostateczny...

Nie dokończył. Dolores rękę podniosła do serca, tłumiąc okrzyk bólu. Zachwiała się, oparła o krzesło, wyprostowała i padła na wznak w objęcia Zuzanny. Omdlałą ułożono na łóżku.

— Niech jej pani nie opuszcza — zwrócił się pan Lenormand do Zuzanny. Na wypadek Hartog zostanie w tej ubieralni... drzwi będą otwarte. W razie potrzeby pamiętaj, wołaj Hartog, jesteśmy na dole.

Zeszedł w chwili, gdy bracia Dondeville stawiali nosze w przedpokoju.

— Sprawujcie się cicho — rzekł — złóżcie umarłą w salonie. Pani Kesselbach jest chora, uprzedzę ją dopiero za obudzeniem, również Zuzannę. Gdyby was Hartog wołał, idźcie na górę prędko. Idziesz Gourel?

Pana Lenormand zaciekawiło najbardziej to, jakim sposobem Gertruda, spuściwszy się po sznurowej drabince, wydostała się z ogrodu. Oczywistem było, że nie wyszła główną bramą, i że musiało być jakieś wyjęcie, którędy wchodzić i wychodzić mogła, niewidziana, o każdej godzinie nocy, a nawet dnia.

— Zgaś twą latarkę, Gourel, nie trzeba, by nas widziano.

— Kto taki, szefie?

— Ach, gdybym to wiedział!

Szli wzdłuż okalającego ogród muru, a chociaż księżyc zaszedł, dość jasno było, by mogli zbadać kamienie muru i przekonać się, że w murze nie było żadnej szczerby, ani otworu, któryby wyjście uczynił możebnem.

Dochodzili już do loży portyera, gdy ujrzeli światełka, błyskające w głębi ogrodu.

— To nasi ludzie, to ich kieszonkowe latarki — rzekł p. Lenormand.

Pobiegli w tę stronę. Wydało im się, że mijają cień jakiś, chroniący się pod drzewa. Gdy dobiegli na miejsce, Dondeville zapytał:

— Nie widział pan, panie szefie, chłopaka, który anm umknął przed czwilą?

Pan Lenormand wrócił do miejsca, gdzie mignął ów cień podejrzany, ale nie znalazł tam nikogo.



Lenormand nachylił się. Tak, to była Gertruda.

— Mów, Dondeville, co to znaczy? Czy przyszedł kto?

— Tak; podczas gdy byliśmy w salonie, posłyszeliśmy jakiś szmer i wydało nam się, że ktoś wchodzi. Nie otwieraliśmy, więc prawdopodobnie miał klucz, a musiał być z miejscowością dobrze obeznany, gdyż prosto poszedł schodami i tam go przy świetle gazu zobaczyliśmy... wyrostek... może piętnastoletni.

— I cóż on zrobił?

— Okrutnie się zwijał... No, i my także... Widzieliśmy, jak wchodził do pokoju Gertrudy i myślimy sobie: „tam na Hartoga wpadnie“... Ale nie, ulotnił się z pokoju prędko, cicho i bez śladu. Jak kamfora.

— Ej, do licha! drabinka sznurowa! — mruknął pan Lenormand.

W tej chwili wszedł drugi Dondeville, z jakimś papierkiem w ręku. Był to list, złożony we czworo i zgnieciony, którego koperta nie była rozdarta.

Pisany ołówkiem na cienkim papierze, zawierał te słowa.

„Wzywałem cię do telelefonu. Czy to ty mi odpowiadałaś? Nie mogłem potem uzyskać połączenia. Jestem niespokojny... Przyjdę... Jeżeli co zaszło, powiedz małemu“.

— Doskonale, doskonale — zauważył pan Lenormand — to Ribeira niespokojny, gdyż nie mógł się rozmówić przez uszkodzony telefon, idzie na odsiecz... Będziemy mieli coś nowego.

— Pan ma jakiś plan, szefie? — wtrącił Gourel.

— Dobry tym razem... A teraz do roboty. Wy bracia Dondeville idźcie na swój posterunek. Gourel, szukajmy przejścia. Odpoczniemy później... tak przynajmniej mam nadzieję.

Pole dochodzeń było teraz bardziej ograniczone. Sądząc po tajemniczem zjawieniu się wysłańca Ribeiry, banda musiała mieć z ogrodem połączenie, umyślnie na ten cel urządzone, a którego ujście znajdować się musiało w miejscu bezpieczniejszem, prawdopodobnie w jakimś budynku. P. Lenormand szukał więc i oglądał się za jakąś szopą, za jakimś kioskiem odosobnionym, za jakimś krytym gankiem. Była wprawdzie szopa, przyparta do muru pawilonu Hortensyi, był i kryty ganek. Ale czyż mogli wybrać sąsiedztwo zamieszkałego domu?

— Zamieszkałego? — szepnął pan Lenormand sam do siebie. Ależ on przecież zamieszkały nie jest. Portyer mi to powiedział. Z obawy przed hałasem, pani Kesselbach ten pawilon wynajęła. A może jej to Gertruda poradziła? .

Obszedł dom. Story było zapuszczone. Na wszelki przypadek spróbował klamki. Drzwi otworzyły się.

— Ach! — rzekł — zdaje mi się, Gourel, że znaleźliśmy to, o co chodzi. Wejdźmy. Daj twoją latarnię. Przedpokój, salon jadalny — to wszystko niepotrzebne. Muszą być sutereny, skoro niema kuchni na parterze.

— Tędy, szefie, tu służbowe schody.

Zeszli w istocie do dość obszernej kuchni, zarzuconej krzesełkami ogrodowemi i trzcinowymi meblami. Obok przytykała pralnia, będąca zarazem piwnicą, przedstawiająca takie same zbiorowisko w nieładzie nagromadzonych sprzętów.

— Niech pan patrzy, szefie!

Gourel podniósł z ziemi szpilkę mosiężną, z główką z imitacyi perły.

— Szpilka świeci się, rzucona tu niedawno. Gdyby była dłużej tu leżała, poczerniałaby w tej wilgoci. Tu musi być wyjście, Gourel.

Gourel zaczął rozrzucać stos konewek i pak, przyparty do ściany.

— Tracisz czas Gourel. Jeżeli wysłaniec Ribeiry tędy uciekał, czyż mógł cały ten stos rozrzucać, a potem układać za sobą? Patrz, oto jakaś nieużyteczna okiennica, zawieszona na gwoździu na ścianie. Usuń ją.

Gourel zrobił, co mu kazano.

Poza okiennicą był mur wybity. Przy świetle latarni ujrzeli idący w głąb ziemny kurytarz.

IV.

— Nie myliłem się — rzekł pan Lenormand — to przejście jest świeżo zrobione. Widzisz, to robota pospieszna i nie obliczona na trwałość... Nic nie jest murowane. W odstępach po dwie belki skrzyżowane za podpory, a wierzchem deska, służąca za sufit. I nie tyle tylko. Długo trwać to nie będzie, ale dla ich celu wystarczy.

— Jakiż to cel szefie?

— Najpierw umożebnić komunikacyę między Gertrudą, a jej wspólnikami... a potem kiedyś, może wkrótce, doprowadzić do zupełnego, cudownego, niezrozumiałego zniknięcia pani Kesselbach...

Posuwali się ostrożnie, żeby nie potrącać o belki. Zdawało się na pierwszy rzut oka, że korytarz przenosi o wiele długość pięćdziesięciu metrów, stanowiących odległość pawilonu od okrężnego muru. Musiał więc wychodzić gdzieś daleko poza murem i poza gościńcem, biegnącym wzdłuż posiadłości.

— Przecież tędy nie idziemy ku Villeneuve i ku stawowi? — zapytał Gourel.

— Nie... posuwamy się w wręcz przeciwnym kierunku.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Cyklon w Lombardyi.

Z końcem ubiegłego miesiąca szalał w całej prawie Europie środkowej straszny orkan, który szczególniej w Lombardyi poczynił ogromne spustoszenia. W Krakowie odczuliśmy go tylko częściowo, burza z ulewnym deszczem i piorunami trwała wówczas całą noc z soboty na niedzielę i prawie cały dzień niedzielny.

Spełniły się w ten sposób przepowiednie meteorologów, że bieżące lato będzie bardzo burzliwe; choć my, dzięki Bogu, nie możemy jeszcze narzekać, niebo obeszło się z nami bardzo łaskawie. Daleko gorzej było na Węgrzech, w Anglii, Niemczech, Włoszech i Skandynawii. Tam zaburzenia meteorologiczne sprowadziły wprost katastrofę.

Obecny cyklon przeleciał przez Szwecyę i Niemcy, ogarnął i część Anglii, wyrządzając olbrzymie szkody w tych krajach a następnie dostał się do Włoch. W trójkącie pomiędzy Medyolanem, Bergamo i Lago Maggiore w ową sobotę zerwała się burza z ogromną ulewą. Cała ta okolica jest ogniskiem przemysłu, to też w każdej wsi wznoszą się kominy fabryczne, a liczne potoki alpejskie służą do wytwarzania siły elektrycznej. Kominy legły w gruzach, potoki w przeciągu kilku minut tak wezbrały, że zalały sąsiednie okolice.

Burza przyszła tak nagle, że zaskoczyła w fabrykach robotników, którzy nie mogli znaleść odrazu właściwego schronienia. Skutkiem tego zginęło w tej okolicy siedmdziesiąt pięć osób, a kilkaset odniosło rany. Jak się zdaje, ogniskiem burzy była miejscowość Saronno, najbardziej obok niej ucierpiały Busto-Arsizio, Legrano i Monza, gdzie między innemi uszkodzoną została i kaplica pamiątkowa króla Humberta.

Przewody telegraficzne i telefoniczne zostały przerwane, setki domów legły w gruzach, plony w polach zostały doszczętnie zniszczone. W samem Saronno nie było ani jednego domu nieuszkodzonego. W przędzalni w Versaghello zginęło ośm osób, w Sanvittore - Olona trzy. O zabiciu rozmaitej ilości osób doniesiono także z Legnano, Moglio Rogeno, Gabiate, Canegrate, Manera, Rovellasca i Canta.

Od kilkudziesięciu lat nie pamiętają takiej burzy we Włoszech, a o sile jej daje wyobrażenie fakt, że wicher łamał w połowie kominy fabryczne i walił mury, otaczające dziedzińce, a cegły spadające raniły robotników. W niektórych okolicach padał grad, którego „ziarnka" dochodziły wielkości pięści i wagi pół funta.

Celem niesienia pomocy nieszczęśliwym mieszkańcom okolic, nawiedzonych cyklonem, wysłano na miejsce wojsko.

Z obchodów grunwaldzkich na prowincyi.

Wśród mnóstwa obchodów rocznicy grunwaldzkiej, jakie się w ostatnich tygodniach odbyły w rozmaitych miastach i miasteczkach a nawet wsiach galicyjskich, jednym z najwspanialszych był obchód parafialnego kościoła w Krasnem, oddalonego o 4 kilometry od Strażowa. Zaczęły też gromadzić tłumy ludu miejscowego jak również z wiosek okolicznych. Przybyło też sporo inteligencyi z pobliskich miast Łańcuta i Rzeszowa. Pochodem kierował poseł Józef Jachowicz, który był inicyatorem budowy pomnika i urządzenia całej uroczystości, przyczem nie szczędził ani trudów ani grosza, byle tylko uroczystość wypadła jak najlepiej. Uroczysty pochód z muzyką strażacką z Łańcuta i własną



Cyklon w Lombardyi: Cegielnia w Solaro, zniszczona skutkiem cyklonu.

w Strażowie w pobliżu Łańcuta, gdzie wzniesiono dla upamiętnienia rocznicy piękny choć skromny pomnik kamienny.

W dniu uroczystości już od wczesnego ranka ruch we wsi był niezwykle ożywiony. Chaty przystrojono chorągiewkami o barwach narodowych oraz zielenią, a w kilku miejscach wsi zbudowano bramy, udekorowane chorągiewkami i zielenią, co przedstawiało malowniczy widok. Salwy moździerzowe zapowiedziały pochód na uroczyste nabożeństwo do wiejską na czele wyruszył z banderyą, złożoną ze 150 włościan na dzielnych rumakach, dziatwą szkolną i okolicznym ludem przy dźwiękach narodowych utworów na nabożeństwo.

Po nabożeństwie pochód inną drogą podążył pod pomnik. Po poświęceniu i odsłonięciu pomnika wstąpił na mownicę ks. kanonik Siara i omówił znaczenie uroczystości a potem wzywał do jedności, zgody i miłości ojczyzny. Następnie poseł Józef Jachowicz w gorących słowach zachęcał do święce-



Z obchodów grunwaldzkich na prowincyi: Odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego w Strażowie. Wokoło uczestnicy uroczystości z posłem Jachowiczem (X).

nia uroczystości narodowych, gdyż one krzepią wzmacniają ducha.

Następnie przemawiał nauczyciel ze Strażowa Inglot, który wyjaśniał historyczne fakta z dziejów krzyżactwa. Nakoniec 8-letnia uczenica wygłosiła okolicznościowy wierszyk. Odśpiewano jeszcze chóralnie pieśni narodowe, poczem znaczna ilość osób udała się ua posiłek, przygotowany przez gminę.

Wieczorem odbyło się przedstawienie amatorskie. Odegrano „Wóz Drzymały“, poczem nastąpiły obrazy świetlne, odnoszące się do wojen krzyżackich, które objaśniał wymownie inspektor kółek rolniczych Chmielowski.



Cyklon w Lombardyi: Zniszczone przez cyklon domy mieszkalne w Busto-Arsizio.

Tak zakończyły się uroczystości grunwaldzkie w Strażowie, zostawiając niezatarte wspomnienie u wszystkich uczestników.

Zjazd Haczowiaków.

Z postępem czasu i ogólnym rozwojem kultury w kraju naszym, coraz więcej dzieci włościańskich garnie się do nauki w szkołach średnich i wyższych, przez co oczywiście wzrasta łączność szerokich mas ludowych z inteligencyą bądź miejską, bądź wiejską. Jest już sporo takich wsi w Galicyi, skąd prawie wszyscy bardziej utalentowani chłopcy idą do szkół wyższych. Znane są pod tym względem zwłaszcza wsi Haczów, Odrzykoń i Borzęcin.

Haczów ruch ten zapoczątkował. Jest to duża, zamożna wieś w powiecie brzozowskim, zamieszkana przez ludność pracowitą, inteligentną, a schludną. Z pośród ludności Haczowa dziś około 120 ludzi zajmuje poważne w kraju stanowiska, a 50—60 młodzieży jej kształci się w gimnazyach i uniwersytetach.

W ostatnich dniach lipca zjechali się w Haczowie, w rodzinnej swej kolebce, owi rozproszeni po całym kraju rodacy, aby odwiedzić swoich najbliższych, poznać się nawzajem, a wsi całej pomódz w pracy nad podniesieniem kulturalnem i ekonomicznem. Przybyło ich około 70, reszta nadesłała pisemne usprawiedliwienie. Wziął też w zjeździe udział marszałek powiatu, poseł Mieczysław Urbański.

W pierwszy dzień zjazdu rano odprawiono w kościółku nabożeństwo, podczas którego mszę żałobną odprawił ks. Rymar, uroczystą wotywę śpiewał b. prowincyał OO. Kapucynów, prezes zjazdu, O. Floryan Janocha z Rozwadowa, a kazanie wypowiedział profesor św. teologii z Przemyśla, ks. dr. Wojciech Szmyd.

Po nabożeństwie zebrali się wszyscy na ogrodzie obok kościoła. Tłum liczył do 2.000 głów. Tu zebranie zagaił prezes, ks. Janocha, powitał zebranych i podał motywy zjazdu.

Pierwszy referent, prof. gimnazyalny, p. Stanisław Rymar z Krakowa, mówił o „łączności Haczowiaków“, drugi, prof. Józef Ekiert ze Lwowa, o „przeszłości Haczowa“. Wieczorem odbyło się poświęcenie cegielni gminnej, wystawionej kosztem kilkudziesięciu tysięcy koron. Tutaj przemawiali ks. Foryś, proboszcz Haczowa i prezes zjazdu ks. Janocha. Po poświęceniu nastąpiła zabawa ludowa: śpiewano, tańczono, puszczano ognie sztuczne itd. Wzięło w niej udział około 1500 osób.

Ostatniego dnia zjazdu na osobnem zebraniu uchwalono wystawić w Haczowie Dom ludowy. Zebrani zobowiązali się złożyć na ten cel około 12.000 koron w ciągu 10 lat.

Następny zjazd odbędzie się za lat 6 podczas poświęcenia nowego kościoła, szkoły 4-klasowej i Domu ludowego.



Otwarcie starostwa w Oświęcimiu: Burmistrz Oświęcimia Roman Mayzel.

Kurs koronkarski w Buczaczu.

Grono pań, grupujących się około towarzystwa pomocy przemysłowej w Buczaczu, powzięło myśl stworzenia w tej kresowej miejscowości nowych ognisk przemysłu domowego, dostępnego dla dziatwy szkolnej i ludności małomiasteczkowej, a mogącego tej ludności przysporzyć zarobku. Jedną z takich gałęzi przemysłu domowego, która może i powinna



Zjazd Haczowiaków: Uczestnicy zjazdu z prezesem zjazdu ks. prowincyałem Janochą (1), i marszałkiem powiatu, posłem sejmowym Mieczysławem Urbańskim (2).

się rozwinąć w naszym kraju, niewymagającą wielkich nakładów pieniężnych, jest wyrób koronek iryjskich.

Celem spopularyzowania wyrobu tych koronek urządziła sekcya pań towarzystwa pomocy przemysłowej w Buczaczu, za zezwoleniem krajowej a czynnem poparciem okręgowej rady szkolnej, trzytygodniowy kurs nauki wyrobu koronek iryjskich dla nauczycielek szkół ludowych wiejskich i miejskich, pod kierunkiem p. Maryi Stefanusówny, nauczycielki z Koropca. Na kurs ten zgłosiło się 22 naczycielek z całego powiatu i wszystkie ukończyły go z bardzo dobrym postępem. Roboty ich, bez wyjątku ładne i poprawne, przedstawiają mnóstwo pięknych wzorów, które posłużą nauczycielkom do dalszego krzewienia wyrobu koronek przez nauczanie w szkołach zręczniejszych a chętnych i nadających się do podobnej nauki dziewcząt miejskich i wiejskich.



Otwarcie starostwa w Oświęcimiu: Kierownik starostwa Ludwik Wykowski.

Jako dowód, że zamierzone spopularyzowanie wyrobu koronek iryjskich może istotnie mieć znaczenie wcale donośne, gdyż może rozwinąć tę gałąź przemysłu domowego i tem samem przysporzyć ludności zarobku, niechaj posłuży okoliczność, że zaraz po rozpoczęciu kursu otrzymało stowarzyszenie pomocy przemysłowej w Buczaczu od stowarzyszenia pracy kobiet w Wiedniu zamówienie na koronki w cenie około 1700 koron.

Skoro tylko nauka w poszczególnych szkołach rozwinie się tak, że uczenice będą mogły dostarczyć pewnej ilości koronek na sprzedaż, a że się rozwinie, nie należy wątpić wobec zainteresowania się i szczerych chęci nauczycielek, które kurs odbyły i silnego poparcia ze strony władz szkolnych, natenczas zostanie zorganizowaną z grona sekcyi Pań stowarzyszenia pomocy przemysłowej w Buczaczu ekspozytura koronkarska, a zadaniem jej będzie pośredniczyć w zamówieniach i korzystnem zbyciu wyrobionych koronek; zbyt ten wskutek nawiązanych przez Ligę pomocy przemysłowej we Lwowie stosunków z hurtownymi odbiorcami w Wiedniu jest z góry zapewniony.

Zdjęcie fotograficzne, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawia uczestniczki kursu wraz z wydziałem Towarzystwa pomocy przemysłowej w Buczaczu.



Obchód grunwaldzki w Krynicy: Przemówienie posła dr. L. Germana, podczas poświęcenia kamienia węgielnego pod pomnik Jagiełły w Krynicy.

Straszny wybuch w Warszawie.

Ulica Elektoralna w Warszawie była w ubiegłym tygodniu widownią strasznej katastrofy, która spowodowała śmierć siedmiu osób, a ciężkie uszkodzenie pięciu, nadto zaś wyrządziła znaczne szkody materyalne. Realność, w której wydarzyła się katastrofa, składa się z dwupiętrowej kamienicy frontowej, z trzypiętrowej oficyny oraz z drewnianego budynku piętrowego. Prócz tego stoi tam w podwórzu poprzeczna oficyna z drewnianą facyatką.

Otóż obok owej drewnianej oficynki stał na podwórzu realności duży wóz towarowy, własność przedsiębiorcy przewozowego Weinsteina; na platformie wozu znajdował się w dużej ilości celuloid, przeznaczony do transportu. Wiadomo, jak łatwo zapalnym i wybuchowym materyałem jest celuloid. Tymczasem przedsiębiorca nie poczynił żadnych kroków, któreby cały ten transport uchroniły przed niebezpieczeństwem. Nic dziwnego też, że ktoś



Zjazd Haczowiaków: Ludność Haczowa, zebrana na podwórzu kościelnem w czasie uroczystego zjazdu.

z mieszkańców czy przechodniów rzucił w kierunku naładowanej celuloidem platformy zapałkę lub niedopałek papierosa, co spowodowało wybuch i straszną katastrofę.



Obchód grunwaldzki w Krynicy: Drużyna korpusu wakacyjnego w Krynicy.

W chwili, gdy celuloid się zajął — a była wówczas godzina 10 i wpół w nocy — wzbił się pod obłoki słup ognia, przy równoczesnej detonacyi, która wywołała w całej okolicy niesłychane przerażnie. Zaalarmowano straż pożarną, która wzięła się do ratunku płonących domów i od strony ulicy Elektoralnej i od strony ulicy Solnej. Dzięki rychłemu a energicznemu ratunkowi, pożar zdołano wnet stłumić. Dopiero wtenczas można było dostać się do wnętrza mieszkań na facyatce, która była przedewszystkiem narażona na skutki wybuchu.

A skutki te były istotnie straszne. Niewielka izba była dosłownie wypełniona zwęglonymi trupami ludzi.

Mieszkanie w facyatce zajmowały dwie rodziny żydowskie: Wilków i Fuksów; z wszystkich mieszkańców zaledwie dwie czy trzy osoby uszły bez szwanku, siedm życie na miejscu straciło, a pięć odniosło ciężkie poparzenia. Ponadto znaleziono w komórkach, które także spłonęły, trupa konia, własność mleczarza, mieszkającego w tym domu.

Katastrofa ta wywołała w całej Warszawie przygnębiające wrażenie.

Obchód grunwaldzki w Krynicy.

Wśród miejscowości prowincyonalnych, które pamiętały o rocznicy grunwaldzkiej i starały się ją w miarę środków jak najgodniej uczcić, znalazła się i Krynica, tak powszechnie znana miejscowość kąpielowa naszego kraju. Obchód w Krynicy odbył się w dniu 31 lipca staraniem komitetu.

Rozpoczęto uroczystem nabożeństwem w kościółku miejscowym, który oczywiście nie pomieścił wszystkich wiernych, tak że znaczna ich część musiała pozostać na otaczającym kościół cmentarzu, gdzie też znakomity kaznodzieja, O. Gliwa z Krakowa wygłosił przepiękną, patryotyczną mowę.

Po nabożeństwie odbył się pochód do parku zakładowego, gdzie dokonano poświęcenia kamienia węgielnego pod pomnik Jagiełły. Aktu poświęcenia dokonał miejscowy proboszcz ks. Jasiak, który następnie przemówił do zebranej bardzo licznie publiczności. Przemawiali potem: poseł dr. German i wiceprezes „Sokoła“ Albinowski. Popołudniu odbyły się ćwiczenia Sokołów krynickich i nowosądeckich oraz drużyny korpusu wakacyjnego. Drużyna ta, której przewodzi dyr. Wyszyński, rozwija się z każdym rokiem piękniej a udatne jej ćwiczenia podobały się ogólnie.

Cały obchód wypadł bardzo dobrze i pozostawił u uczestników nadzwyczaj sympatyczne wrażenie.



Fot. Niemand, Buczacz.

Kurs koronkarski w Buczaczu: Uczenice kursu, wraz z wydziałem Towarzystwa pomocy przemysłowej w Buczaczu; 1. p. Stefanusówna, kierowniczka kursu; 2. radca Schutt, prezes towarzystwa 3. Marya Bresiewiczowa, przewodnicząca sekcyi pań Tow. pomocy przemysłowej.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

9

— Yvetto — rzekłem — wiesz równie dobrze, jak ja wiem, że popełniłaś zbrodnię prawdziwą. Opowiedz mi wszystko, co wiesz o zazdrości Deschamps względem twojej pani; wyznaj wszystko szczerze, a przekonam się, czy będę mógł zrobić co dla ciebie.

.Zacisnęła wąskie wargi.

— Nie! — odpowiedziała ostro i urywanie — Co zrobiłam, to zrobiłam, a odpowiadać będę tylko sędziemu śledczemu.

— Namyśl się, radzę ci.

— Ani myślę. To pułapka, którą mi pan zastawia.

— No dobrze.

Poszedłem ku drzwiom i otworzyłem je na rozcież...

— Idź, jesteś wolna.

— Wolno mi odejść?

— Tak sobie życzy twoja pani.

— Pani mnie nie chce posłać do więzienia?

Przez chwilę wydawała się zdziwioną, wreszcie przemówiła znowu:

— Ach, to tylko złośliwe żarty, a żandarmi stoją pewnie na schodach.

Wzruszyłem ramionami, ona zaś w końcu spokojnie wysunęła się z pokoju. Słyszałem, jak zbiega po schodach. Zaraz jednak, ku mojemu zdziwieniu, kroki jej zawróciły z powrotem i Yvetta powróciwszy do pokoju, zamknęła drzwi za sobą.

— Widzę, że nie jest to żaden żart złośliwy — zaczęła, plecami o drzwi oparta. Mademoisolle Roza, to szlachetna pani i ja to zawsze wiedziałam; ona jest prawdziwa artystka; ona ma duszę — ale i ja także. Czegoby pan nie mógł wymódz na mnie siłą, ani pan, ani nikt inny, to ja panu powiem dobrowolnie. Chce pan coś wiedzieć o Deschamps?

Skinąłem głową, podziwiając ją w duszy.

— To kobieta, której się można bać. Mówiłam panu, że służyłam u niej, zanim przyjęłam służbę u Mademoiselle Roza, i zawsze się jej bałam. Ale ja ją lubiłam. Rozumiałyśmy się, Deschamps i ja. Mademoiselle wyobraża sobie, że Deschamps stała się o nią zazdrosną z powodu pewnego zajścia w *Opéra Comique* przed kilkoma laty — zwyczajne nieporozumienie między artystkami, jakich napatrzyłam się dosyć. To była tylko częściowa przyczyna, ale w tem wszystkiem było coś więcej. Deschamps myślała, że lord Clarenceux kochał się w niej — w niej! A naprawdę, to on się w niej nie kochał; ale ona tak myślała, a gdy lord Clarenceux zaczął zabiegać o względy mademoiselle, wtedy to dopiero naprawdę wybuchnęła zazdrość Deschamps. Ach! ja słyszałam, jak Deschamps zaprzysięgła się, że... Ale mniejsza o to... Ona tego nigdy mademoiselle nie darowała, że zaręczyła się z lordem Clarenceux. Gdy umarł, ona się śmiała; ale jej nienawiść do mademoiselle nie wygasła... przyćmiła się tylko, ale żarzyła się w głębi. I ja to rozumiem — lord Clarenceux taki był przystojny i taki bogaty, taki piękny i taki surowy, wielki pan... Miał zwyczaj dawać mi stufrankówki...

— Dlaczego zazdrość Deschamps ożyła teraz tak nagle?

— Dlaczego? Bo mademoiselle postanowiła teraz wrócić do *Opéra Comique*. Deschamps tego ścierpieć nie mogła. A gdy posłyszała, że się to ma stać, napisała do mnie — do mnie! i zapytała, czy to prawda, że mademoiselle ma wystąpić w Carmen. A potem przyszła zobaczyć się ze mną — ze mną! — i musiałam jej powiedzieć, że to jest prawda; i wtedy strasznie się rozgniewała, a potem zaczęła płakać — och! jak rozpaczała! Powiedziała, że ma na to sposób, by pani przeszkodzić śpiewać i prosiła mnie, bym jej pomogła. I ja jej to obiecałam.

— Zgodziłaś się zdradzić swoją panią?

— Deschamps mi przysięgła, że to pani naprawdę nie zaszkodzi. A czy ja panu nie powiedziałam, że lubiłyśmy się z Deschamps? Jesteśmy stare znajome. Żal mi jej było. Starzeje się...

— Ileż ci obiecała zapłacić?

— Ani grosza... ani ceutima. Przysięgam!

Dziewczyna tupnęła nogą i podniosła głowę, zarumieniona szczerem przejęciem, broniąc się przed tym zarzutem.

— Co zrobiłam, to zrobiłam z serca; a przytem wierzyłam, że to mojej pani nie zaszkodzi. Prawdę mówię!

— A jednak twoja pani mogła to życiem przypłacić.

— Niestety!

— Powiedz mi jeszcze: teraz, gdy ten zamach się nie udał, co zrobi Deschamps? Czy da pokój, czy obmyśli co innego?

Yvetta zwolna potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Ona jest niebezpieczną. Czasami bywa jak szalona... Trzeba się strzedz. Co do mnie, to już ja jej nigdy nie zobaczę.

— Dajesz mi słowo na to?

— Już powiedziałam. Więcej nic panu nie mam do powiedzenia. Więc żegnam pana. Niech pan powie pani, że swego postępku żałuję.

Otworzyła drzwi, a czyniąc to, spoczęła okiem przypadkiem na małym obrazku, wiszącym obok kominka. Obrócony plecami do ognia, nie poszedłem za jej wzrokiem.

— Ach! — szepnęła z westchnieniem — to był taki piękny, surowy pan... i dawał stufrankówki!

Poszła. Już nigdy więcej nie słyszeliśmy o Yvecie. Z ciekawości odwróciłem się, by popatrzeć na obrazek, na który ona spojrzała. Była to mała fotografia, w czarnej oprawie, wisząca osobno na ścianie; w zwykłych warunkach można było łatwo jej nie spostrzedz. Przysunąłem się bliżej. Nagle serce mi zabiło i czoło pot mi zrosił. Fotografia przedstawiała człowieka, który od chwili, gdym poznał Rozę, szedł trop w trop za moim śladem — tę tajemniczą i groźną osobę, którą najpierw widziałem naprzeciw hotelu Alreski, potem w katedrze w Bruges, podczas gdym czuwał przy zwłokach, dalej w pociągu przed rozbiciem i nareszcie na parowcu, który omal nie zatonął w Kanale. Dołem, w poprzek fotografii, biegł podpis, wielkiem, prostolinijnem pismem nakreślony: *Clarenceux*.

A więc lord Clarenceux żyje, choć wszyscy myślą, że umarł... Oto więcej niepokojąca tajemnica, aniżeli wszystkie inne...

Rozdział XIV.

Uważałem za swoją powinność powiedzieć Rozie, moje domysły bo do tego jakimi powodami rządził się. znikając w ten sposob i wprowadzając w błąd przyjaciół swych i świat cały. Wiedziałem jednakże, że takie rzeczy już się zdarzały, a także słyszałem o tem, że to był człowiek, któryby się nie zawahał przed jakąbądź dziwaczną zachcianką, gdyby mu ona dogadzać miała. I rozjaśniło mi się jeszcze jedno: Alreska musiał wiedzieć, że lord Clarenceux żyje. Na tem musiała polegać część jego tajemnicy, ale część tylko. Przeczuwałem, że tuż, tuż przede mną leży jakieś tragiczne odkrycie, mające żywotnie dotknąć nietylko losu mojego własnego, ale także losów osób drugich.

Odwiedziłem Rozę nazajutrz rano po mojej przeprawie z Yvettą. Była zdrowa zupełnie, wcale dobrze usposobiona i zaprosiła mnie na wieczór, na obiad. „Powiem jej po obiedzie“ pomyślałem sobie, gdyż coraz trudniej było mi mówić z nią o tem. Powiedziała mi, że telefonicznie umówiła się z teatrem o nową próbę o godzinie trzeciej, tym razem jednak nie zaproponowała mi, bym jej towarzyszył. Spędziłem zatem popołudnie w Sorbonie, gdzie miałem kilku znajomych, a następnie, wstąpiwszy do hotelu i przebrawszy się, pojechałem fiakrem na ulicę Rivoli. Rozważyłem dobrze, jak poprowadzę rozmowę na temat lorda Clarenceux i ułożyłem sobie cały planik. To pewna, że bez przyjemności myślałem o tej rozmowie; ale, jak powiedziałem, czułem, że to mój obowiązek uwiadomić ją, że śmierć jej narzeczonego jest prostem zmyśleniem. Osobiste moje zamiary musiałyby temsamem upaść — nie miałem prawa liczyć na nic innego — ale gdyby mi się miały powieść, a gdybym ja zamilczał o tej sprawie, uważałbym... że odegrałem rolę człowieka „o czterech literach“....

— Pani nie ma w domu — oświadczył mi służący.

— Nie ma w domu? Ależ mój przyjacielu, ja jestem zaproszony na obiad.

— Panią nagle zawezwano, zostawiła tu list dla pana. Czy pan byłby łaskaw do salonu?

List brzmiał, jak następuje:

„Drogi przyjacielu!

Przepraszam stokrotnie. Załączona kartka wyłómaczy wszystko. Czułam, że muszę tam jechać i to zaraz... Mogłaby umrzeć, zanim przybędę. Czy będzie pan łaskaw zajrzeć jutro rano?

Wdzięczna

Roza.

W tej samej kopercie była kartka, pisana po francusku:

Villa des Hortensias
Rue Thiers, Pantin, Paris.

Panno Rozo!

Umieram. Bardzo panią skrzywdziłam i boję się umrzeć bez przebaczenia pani. Niech mi pani da dowód wielkoduszności swojej, niech pani przybędzie do mego śmiertelnego łoża i powie mi, że przyjmuje żal mój i moją skruchę.. Posłaniec panią zaprowadzi.

Karlotta Deschamps.“

— O której godzinie pani wyjechała? — zapytałem.

— Jeszcze niema kwadransa — brzmiała odpowiedź.

— Kto ten list przyniósł.

— Jakiś człowiek, proszę pana. Pani pojechała z nim dorożką.

Z pośpiechem, który musiał zadziwić statecznego sługę, wybiegłem z domu i wskoczyłem do fiakra. Kazałem się dorożkarzowi jak najprędzej zawieść do hotelu. Dla mnie list Deschamps był w najwyższym stopniu podejrzany. Roza naturalnie, w prostocie serca niezdolnego do żadnej podłości, przyjęła go w dobrej wierze. Ale ja pamiętałem z powagą wypowiedziane słowa Yvetty: „Ona jest niebezpieczna. Trzeba jej się strzedz“. A przytem zauważyłem natychmiat, że pismo na tej kopercie zadziwiająco pewnem i regularnem było, jak na umierającą kobietę i że cały układ listu był jak gdyby obmyślany na efekt. Bałem się podstępu. Domyślałem się, że Deschamps to jedna z tych kobiet, które idąc za wodzą namiętnego porywu, gotowe dojść do ostateczności, odkładając zastanowienie na później — gdy już rzecz nieodwołalną się stanie. Znałem wypadkiem trochę odległe przedmieście, gdzie stała willa „des Hortensias“. Wiedziałem, że nocą nie było bezpiecznie i podejrzywałem, że Rozę zaciągnięto tam w złych zamiarach.

Przybywszy do hotelu, wydobyłem z kuferka rewolwer i włożyłem go do kieszeni. Mogło się nic nie stać, ale przezorność nakazywała się przygotować na wszystko. Z tą myślą zabrałem też i mały, klejnotami wysadzany sztylecik, który Roza dała sir Cyrylowi Smart na owem historycznem przyjęciu u megó kuzyna Sullivana. W sieni hotelu spojrzałem na plan Paryża. Przedmieście Pantin leżało bardzo daleko, już poza obrębem fortyfikacyi. Zapytałem portyera, czy dorożka zawiezie mnie do Pantin. Odpowiedział, że mam wsiąść do tramwaju parowego, wychodzącego z pod gmachu opery, dojechać nim aż do samego końca, a wysiadłszy, poszukać dorożki, albo też pieszo dobić do celu. Kazałem się zatem zawieść do tramwaju, wsiadłem na wierzch i ruszyliśmy przy dźwięku hałaśliwej trąbki,

Kilometry i kilometry gazem oświetlonej jednostajnej przestrzeni przebywałem w ten sposób. Po obu stronach ulic mijaliśmy gęsto rozsiane restauracye i kawiarnie — zrazu obszerne, wysokie i bogato dekorowane, o wielkich szklanych fasadach, obsługiwane przez kelnerów we frakach, potem stopniowo coraz mniejsze i mniej ruchliwe. Kelnerzy we frakach ustępowali miejsca obsłudze w robotniczych bluzach, potem kobietom i dziewczętom — niskim, tłustym kobietom i dziewczętom, które szczebiotały ze sobą i z klientami. Nareszcie tramwaj zatrzymał się na końcowej stacyi, przebywszy prawie milę. Nigdzie nie było ani śladu dorożki.

Zacząłem iść pieszo. Sklepiki były coraz mniejsze i coraz uboższe. Nareszcie przeszedłem przez kanał i znalazłem się w okropnej dzielnicy la Villette; tu ulica rozszerzyła się znacznie i pusta, cicha, ciągnęła się w świetle gazu. Przechodziłem pod mostami kolejowymi, mijałem kolejowe place, posępne w niebieskiej mgle elektrycznych świateł. Nareszcie minąłem baryerę miejską i rogatkę a jeszcze przedemną ciągnęła się ulica, ciemniejsza teżaz, uboższa, nędzniejsza. Byłem w Pantin.

Nareszcie dojrzałem biało-czerwony szyld ulicy Thiersa. Stałem samotny w cieniu wysokich, nie zachęcającego pozoru domów. Wszystko było jakieś obce, jakieś straszne. To nie był Paryż, który opisuje Zola. Zakręciłem na ulicę Thiersa i tu odrazu przerwały się szeregi wysokich domów, a zaczęły się małe, odosobnione wille. Willa „des Hortensias“ stała prawie na końcu ulicy. Była może większa od innych, trzypiętrowa, z małym ogródkiem z przodu i sztachetami. Bramka w sztachetach była otwarta. Wszedłem.

Na froncie domu nie było wświatła w żadnem oknie. Cztery kamienne schodki prowadziły do drzwi. Wszedłem po schodkach i właśnie chciałem zapukać, gdy myśl mi przyszła: A nuż Deschamps jest

w istocie umierająca? Jak wtedy wytłómaczę swoją obecność? Nie jestem przecież opiekunem Rozy i ona może wziąć mi to za złe, że ja, młody człowiek, nie mający prawa do tego, tak śledzę za nią po Paryżu?

Jednakże w tego rodzaju wyprawie trzeba przecież ryzykować, to też zapukałem ostrożnie. Nie dostając odpowiedzi, właśnie rozmyślałem nad tem, co właściwie robić dalej, gdy przypadkiem, dotknąwszy drzwi ręką, przekonałem się, że nie są zamknięte. Nie zastanawiając się dłużej, otworzyłem je i bardzo ostrożnie wszedłem do sieni i drzwi za sobą przymnąłem. Nie zatrzasnąłem ich jednakże, licząc na spieszny odwrót w razie potrzeby. Byłem więc w obrębie domu, ciemności jednak panowały tu zupełne, a ja lękałem się zapalić zapałki. Po omacku tedy posuwałem się wzdłuż ściany, aż natrafiłem na drzwi. Te były zamknięte.

Słuchałem z natężeniem, gdyż zdawało mi się, że słychać słabe echa głosów; pewien jednak nie byłem. Tu drgnąłem, gdyż nogą natrafiłem próżnię; stałem ponad rzędem kamiennych stopni; poniżej rozróżniałem słaby błysk światła.

— Więc to tu — pomyślałem — i zstępując ostrożnie po stopniach, stanąłem w końcu na dole.

Na lewo biegł korytarzyk; tamtędy płynęła słaba smuga światła. Przesunąwszy się przez korytarzyk, dostałem się do pokoju o kamiennej podłodze. Światło, nader słabe, jak świt zimowego poranka, dziwnym sposobem zdawało się dobywać z odległego kąta tego pokoju, jak gdyby z pod sufitu. Skierowałem się w tę stronę; po drodze jednak zawadziłem o jakiś metalowy przedmiot, jak się okazało, prostopadły słupek żelazny, ze trzy cale średnicy mający, a idący od sufitu do podłogi.

— Już to prawda — pomyślałem — że tak dziwacznego pokoju jeszcze w życiu nie widziałem.

Obszedłszy pręt czy słup żelazny, dostałem się do tego kąta, skąd owo mdłe światło płynęło. Dostrzegłem teraz, że w kącie tym sufit wyższy był, niż gdzieindziej, i że światło płynęło z prostopadłej szyby szklanej, sięgającej sufitu. Dojrzałem też, że o dwie stopy może nad podłogą, znajdowała się ławeczka, na której można było stanąć, chcąc przez szybę spojrzeć. Wspiąłem się tedy na ławeczkę i spojrzałem. Ku memu zdziwieniu ujrzałem przez szybę wielki pokój, którego podłoga znajdowała się na poziomie mej głowy.

W pokoju tym na posłaniu leżała kobieta — ta sama, która zaczepiła mnie na grobli w Dover — Karlotta Deschamps rzeczywiście. Przy niej, twarzą do niej zwrócona, siedziała Rozetta Roza. Słów dosłyszeć nie mogłem, ale po ruchu ust poznałem, że rozmawiają. Na twarzy Rozy malowała się litość — z grubych rysów Deschamps nie można było nic wyczytać. Blada była, to prawda, ale trudno było osądzić, czy chora jest, czy zdrowa.

Zaledwie zacząłem obserwować te dwie kobiety, gdy posłyszałem za sobą kroki na kamiennych schodach. Kroki zbliżały się; rozlegały się teraz w pokoju, poza mną. Nie zdradzałem swojej obecności. Nie zatrzymując się, ani wahając, kroki zbliżyły się aż do kącika, gdzie stałem i para rąk czyichś dotknęła moich nóg.

— Teraz — pomyślałem — teraz pora działać. — Zeskoczyłem z ławeczki, chwyciłem przybysza za głowę i mocując się z nim, przewróciłem się z nim razem. Jednakże przeciwnik mój był to człowiek drobnego wzrostu i niewprawny w ruchach — nie minęło kilka sekund, a leżał już na wznak, a ja ręką ściskałem go za gardło.

— Proszę się nie ruszać! — szepnąłem surowo.

Skąpe światło nie pozwalało mi go widzieć, to też zaświeciłem zapałkę i przytrzymałem ją prosto ponad jego twarzą. Ciężko dysząc popatrzyliśmy na siebie.

— Wielki Boże! — zawołał nieznajomy.

Był to sir Cyryl Smart.

Rozdział XV.

Była to jedna z tych chwil męczących, które się może raz, może dwa razy w życiu przeżywa— jedna z tych chwil, gdy wydarzenia gwałtem domagają się zrozumiałości i wyjaśnień, a czas na tłómaczenia nie starczy. Czułem, że muszę dowiedzieć się odrazu, dlaczego i w jakim celu sir Cyryl znajduje się tutaj wraz ze mną i że nie będę mógł dalej działać, dopóki się o tem nie dowiem. Ale i to też pojmowałem równocześnie, że wszelkie wyjaśnienia odłożyć trzeba na później, dopóki nie skończy się scena, rozgrywająca się w górze. Stałem przez chwilę milczący, niezdecydowany. Zapałka zgasła.

— Czy jesteś pan tutaj ku jej obronie? — szepnął Sir Cyryl.

— Tak, o ile jej grozi niebezpieczeństwo. Później panu wytłómaczę... A pan?

— Jestem w przejeździe w Paryżu i tu posłyszałem, że Deschamps odgrażała się Rozie. Wszyscy o tem mówią. Słyszałem o scenie na próbie i zacząłem odgadywać... znam dobrze Deschamps. Zaniepokoiłem się o Rozę... A dzisiaj rano spotkałem Yvettę, służącą Rozy — to stara moja znajoma — ona mi wszystko opowiedziała. Mam wielu znajomych w Paryżu, to też dowiedziałem się dziś wieczór, że Deschamps wezwała Rozę do siebie... Dla tego to przybyłem tutaj, by wmieszać się w tę sprawę. Są obie na górze, wszak prawda? Patrzmy i czuwajmy!



Sir Cyryl wyszedł na ławeczkę.

Więc pan zna ten dom?

— Byłem tu raz dawniej, na jednym z sławnych wieczorów Deschamps. Wtedy pokazywała mi cały dom, oprowadzała mnie wszędzie. To bardzo dziwny dom. Przebudowany jest wewnątrz przez jakiegoś rosyjskiego hrabiego, który miał fantazye Ludwika XV. Ów hrabia umarł, a Deschamps ten dom kupiła. Ona tu często przebywa sama.

Ja stawiałem te wszystkie pytania. Sir Cyryl wcale nie zdawał się ciekaw, skąd ja się tutaj znalazłem.

— Czem jest Roza dla pana? — zapytałem nagle.

— A czem ona jest dla pana? — obrócił szybko pytanie.

— Dla mnie jest ona wszystkiem! — odpowiedziałem.

— I dla mnie także, młody przyjacielu!

Nie mogłem, naturalnie, widzieć twarzy Sir Cyryla, ale ton jego odpowiedzi zrobił na mnie silne wrażenie. Umilkłem. Nie rozumiałem nic — a jednak rad byłem, że on tu jest. Obaj zapomnieliśmy na razie, jak dziwną jest cała ta scena. Mnie się to tak naturalnem wydało, iż zjawił się tu właśnie w stosownej chwili, że już go o dalsze objaśnienia nie pytałem...

Sir Cyryl oczywiście obznajmiony był z miejscowością, gdyż wyszedł odrazu na ławeczkę i zaczął patrzeć w głąb pokoju. Poszedłem za jego przykładem i stanąłem obok niego. Obie kobiety wciąż jeszcze rozmawiały.

— Czy nie moglibyśmy wejść do tego pokoju... czy nie moglibyśmy uczynić czegośkolwiek? — szepnąłem.

— Jeszcze nie teraz... Przecież jeszcze nie wiemy, czy Deschamps istotnie ma złe zamiary... Poczekajmy. Czy ma pan broń?

Sir Cyryl mówił jak ktoś, kto rozkazuje, a ja skłoniłem się przed jego powagą.

— Tak — odpowiedziałem — mam rewolwer, mam także mały sztylecik...

— Kto wie, co się stać może? Daj mi pan jedno albo drugie... daj mi pan sztylet, jeśli pan woli.

Podałem mu sztylecik po ciemku. Dziwna rzecz, sumiennie zapewnić mogę, że w tej chwili nie pamiętałem zupełnie o przygodzie Sir Cyryla, w której ten sztylecik grał rolę.. Miałem właśnie zapytać, na co, jego zdaniem, broń tu potrzebną być może, gdy przez szybę ujrzałem przejmującą scenę. W toku spokojnej, jak się zdawało rozmowy, Deschamps gwałtownym ruchem nagle zerwała się z posłania. Oczy jej gorzały dzikim jakimś blaskiem...

Z mimowolnym okrzykiem zacząłem rękojeścią rewolweru bić w szybę — szyba jednakże, gruba na cal, nie pękła nawet pod ciosami. Sir Cyryl w oka mgnieniu zeskoczył z ławeczki.

Roza tymczasem powstała. Po twarzy jej, zdradzającej teraz, że przejrzała nareszcie haniebne oszukaństwo, którego padła ofiarą, przebiegł wyraz oburzenia i strachu. Deschamps nie była już teraz biedną, złożoną niemocą, umierającą kobietą. W oczach jej płonęła dzika chuć mordu — z podniesionemi w górę, drgającemi rękami, sunęła naprzód, jak tygrysica, a Roza cofała się przed nią i cofała, aż doszła do środka pokoju.

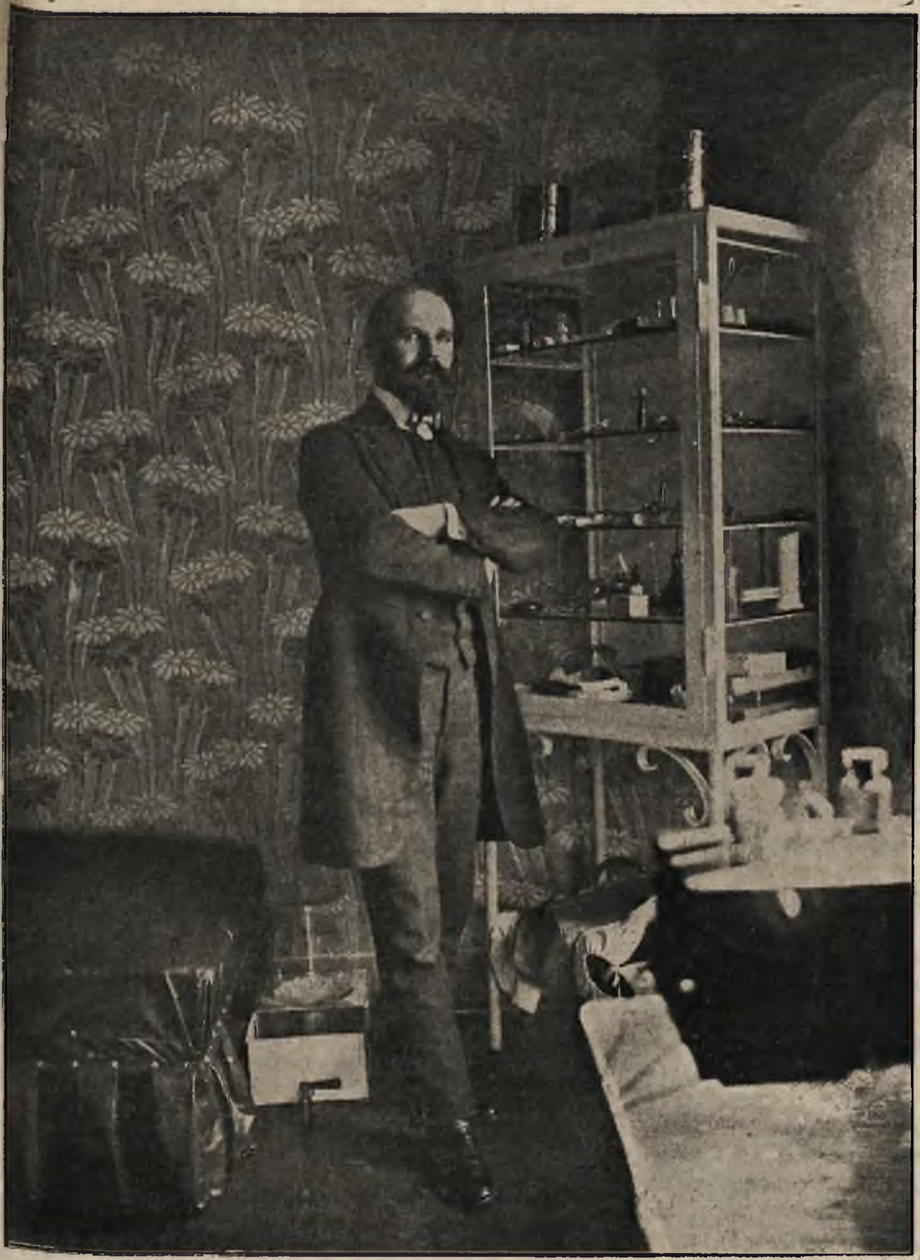
W tej chwili ozwało się szczęknięcie jakiejś sprężyny i środkowa tafla posadzki, na której Roza stanęła, osunęła się szybko w dół, do pokoju, w którym my byliśmy,

Nie wierzyłem moim oczom... było to coś, jak złuda sceniczna... coś niepojętego, nieprawdopodobnego... Tu objaśnię, czego się później dowiedziałem, że pokój górny był dawniej jadalnią, a ruchoma tafla służyła do podnoszenia i spuszczania stołu — tak jak się to działo w czasie owych sławnych uczt, za króla Ludwika w Małym Trianon. Szyba szklana dawała służbie kuchennej możność śledzenia przebiegu biesiady i pilnowania kolei potraw. Sir Cyryl wiedział o tem urządzeniu i skoczywszy ku żelaznemu słupowi, w porę poruszył maszynerę.

Kuchnię — kuchnią bowiem był ten pokój, w którym się znajdowaliśmy—oświeciło teraz światło, płynące z górnego pokoju. Spiesznie podbiegłem ku Rozie, która ujrzawszy Sir Cyryla i mnie, wydała lekki okrzyk i upadła zemdlona. Zdążyłem ją upadającą podtrzymać i łagodnie ułożyć na podłodze. Dzielna to była dziewczyna, lecz zaiste nazbyt już wiele było tych niespodzianek.

Deschamps tymczasem stała nad krawędzią górnego otworu, tupiąc nogą i krzycząc głośno w szale zawiedzionej zemsty. Odchodziła od zmysłów poprostu. Pewien jestem, że zupełnie przytomność straciła. Poznałem to natychmiast i zrozumiałem, że ciężkie czeka nas z nią przejście... Nie ostrzegłszy nas, nieprzewidzianie, szalona ta kobieta skoczyła na dół i stanęła wpośród nas. Skoczyła z wysokości dziesięciu stóp, ale dzięki szczęściu, które osłania obłąkanych, nie poniosła wcale szwanku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Tragedya w Tatrach: Dr. Wł. Kraszewski, lekarz pogotowia ratunkowego.

Tragedya w Tatrach.

Przepiękne nasze Tatry pochłonęły znowu dwie ofiary. Zginął tam młody turysta, słuchacz politechniki lwowskiej, Szulakiewicz, zginął wnet potem jeden z najstarszych i najdzielniejszych przewodników, Klimek Bachleda, który z ekspedycyą ratunkową wybrał się na pomoc Szulakiewiczowi.

Straszny ten wypadek, który i w Zakopanem i w całym kraju niesłychanie przygnębiające wywarł wrażenie, powinien wreszcie położyć kres bezładnej, niekarnej turystyce bezprzewodnikowej, powodującej corocznie tyle wypadków. Bo niektórzy turyści, zwłaszcza młodzi i najmniej doświadczeni, puszczają się na szukanie nowych dróg bez przewodników, ufni w swe własne siły, ufni w grube liny i żelaziwa. Ani liczne wypadki, jakie w ostatnich czasach się wydarzyły, ani przestrogi doświadczonych taterników, niepomagają, młodzi zapaleńcy idą, jakby umyślnie szukając śmierci, niepomni, że narażają nietylko siebie, ale i innych ludzi, którzy choć nieinteresowani, a jedynie uczuciami altruistycznemi powodowani, wśród nieopisanych trudów i niebezpieczeństw narażają swe zdrowie, a nawet życie, aby lekkomyślnych ludzi ratować.

Ś. p. Stanisław Szulakiewicz wybrał się w towarzystwie dwu innych, również młodych turystów, Józefa Bizonia, słuchacza politechniki i abituryent a gimnazyalnego Jarzyny, na wycieczkę w góry. Wyruszyli z Zakopanego w piątek rano ku Turni Jaworowej. Wobec fatalnych warunków atmosferycznych, p. Bizoń postanowił wrócić do Zakopanego, radził też uczynić to samo swoim towarzyszom i przedstawiał niebezpieczeństwo, na jakie się narażają. Perswazye te atoli nie odniosły skutku, pp. Jarzyna i Szulakiewicz puścili się w dalszą drogę.

Przewidywania p. Bizenia spełniły się. Dwaj młodzi turyści ulegli w górach nieszczęśliwemu przypadkowi, przeszedłszy mianowicie na stronę węgierską, stracili wskutek gęstej mgły i zadymki śnieżnej ślad drogi i znaleźli się skutkiem tego w strasznem położeniu. Poszukując drogi, którą mogliby zejść w dół, spadli obaj między skały. Jarzyna wyszedł z przypadku dość szczęśliwie, Szulakiewicz natomiast potłukł się bardzo dotkliwie, nie mógł też iść dalej. Wobec tego Jarzyna przywiązał go liną do maliniaka, a sam dotarł po niezliczonych trudach do Zakopanego, gdzie zaalarmował natychmiast pogotowie ratunkowe. Na wieść o nieszczęsnej przygodzie, która spotkała turystę, ruszyły zaraz dwie ekspedycye ratunkowe, pod przewodnictwem p. M. Zaruskiego i Klimka Bachledy. Obie ekspedycye skierowały się w stronę, oznaczoną przez Jarzynę.

Tymczasem w Zakopanem rozeszła się wieść o wypadku w górach, budząc zaniepokojenie już nie tyklo zaginionego turystę, ale i o członków ekspedycyi ratunkowej, zwłaszcza że wiadomości o postępie prac i skutkach poszukiwań były bardzo skąpe a bałamutne.

Wobec tego wysłano z Zakopanego w niedzielę dwie dalsze ekspedycye z noszami, żywnością, przyrządami ratunkowymi, gdyż obawiano się, że spowodu zawiei śnieżnej i mgły, także dwie pierwsze ekspedycye uległy wypadkowi.

Istotnie w czasie poszukiwań zaginął bez śladu sławny przewodnik Klimek Bachleda, który w dziejach taternictwa odegrał wybitną rolę jako jeden z najdzielniejszych i najsympatyczniejszych przewodników. Także w krótkim czasie istnienia pogotowia ratunkowego zasłużył się Klimek Bachleda bardzo wybitnie, to też wiadomość o zaginięciu sympatycznego górala wywołała ogólne współczucie.

Dopiero w nocy na wtorek dwaj przewodnicy, członkowie pogotowia ratunkowego, odnaleźli okaleczonego trupa ś. p. Szulakiewicza w miejscu, przez p. Jarzynę wskazanem. Mimo usilnych starań lekarza pogotowia, dr. Kraszewskiego, nie zdołano młodego turysty przywołać do życia. Zmarł wskutek odniesionych w czasie upadku ran i wskutek zmarznięcia, temperatura bowiem spadła w górach bardzo znacznie.

Zwłoki ś. p. Szulakiewicza przeniesiono do Zakopanego, skąd przewiezione zostaną do Lwowa.

Ekspedycye ratunkowe, które wyruszyły na poszukiwanie Szulakiewicza, pracują dalej z natężeniem, starając się odszukać śladów Bachledy. Zdaniem przewodników zginął on także wśród śniegów i zadymki.

W czterdzieści lat po maturze.

Byli uczniowie gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie, którzy w 1870 r., a więc przed czterdziestu laty, złożyli egzamin dojrzałości, zjechali się niedawno celem odświeżenia węzłów koleżeństwa i przyjaźni, oraz wspomnień młodości.

Z 56 kolegów, którzy maturę wówczas zdali, zmarło w ciągu lat — 24, z profesorów zaś ówczesnych żyje tylko jeden, emerytowany radca dworu Bolesław Baranowski. Z żyjących kolegów na zjazd przybyło 18, wszyscy ludzie na wybitnych stanowiskach; reszta pisemnie usprawiedliwiła nieobecność.

Zdjęcie grupy uczestników zjazdu zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Król-sportsman: Król Alfons hiszpański (X) na pokładzie swego jachtu „Hispania“.

Kronika tygodniowa.

(Morderstwo na ulicach Krakowa i nieco rozmaitych reflekcyi z tej przyczyny. — Staram się o waffenpas na armatę. — Co nam czynić należy. — Pogoda i asfaltowanie. — Jakie z tego korzyści. — Co o tem, mówią kupcy. — Koniec wakacyi szkolnych i politycznych, — Maryenbad. — Kalendarz polityczny. — Budżet. — Rozwiązanie parlamentu. — Koło Polskie a afera Germanowska. — O kanałach słów kilkoro. — Przepowiednie pogody. — Drożyzna. — Dokąd jechać?).

Wypadałoby właściwie zacząć kronikę od tego samego, czem zakończyłem poprzednią, to jest od sprawy wykluczenia posła Germana ze stronnictwa narodowo-demokratycznego, niestety, muszę to odłożyć na później, gdyż wypada zająć się czemś ważniejszem. Chodzi mi mianowicie o zamordowanie rzekomego prowokatora i szpiega Rybaka, które miało miejsce w samo południe i w najruchliwszej części miasta. Miał to być samosąd partyjny, wyrok bowiem wydał narodowo-demokratyczny związek robotniczy.

Jak Kraków Krakowem nie było u nas podobnej sensacyi, choć, niestety, przyznać trzeba, że to wcale nie pocieszający objaw! Z zagranicy przeszczepia się do nas niezdrowa atmosfera, która zakaziła już poniekąd powietrze. Dziś ogląda się człowiek z obawą na wszystkie strony, czy przypadkiem nie dosięgnie go, niewinnie przechodzącego, kulka, przeznaczona dla jakiegoś emerytowanego szpiega i jak widzimy, trzeba będzie chyba zostać w domu, aby się nie narazić na taką nieprzyjemność, albo pokazywać się na ulicy na armacie. To może ochroni człowieka i wzbudzi postrach wśród bandytów. Wniosłem już odpowiednie podanie do c. k. Dyrekcyi policyi o wydanie mi pozwolenia na noszenie... przepraszam... wożenie armaty i radzę to samo uczynić każdemu z P. T. Publiczności, którego losy skazały na pobyt w środowisku, gdzie mogą się znajdować szpiedzy i tropiący ich bandyci.

Zabezpieczywszy więc, bodaj częściowo, swoje drogocenne życie, zastanawiam się nad tem, czy owi wykonawcy wyroków partyjnych mają racyę, czy nie. Łamałem nad tem głowę przez całe dwa dni i dwie nocy i jestem pewny, że Kopernik nie namozolił się tyle, obmyślając swe teorye. Koniec końców, choć zaczynałem z różnych stron, dochodziłem zawsze do jednego i tego samego rezultatu, że jest to objaw bardzo niezdrowy, który powołane do tego czynniki powinny zwalczać i zdusić w zarodku.

Jeśli już ci panowie chcą załatwiać swe porachunki polityczne, niechaj robią to u siebie, a nie na naszym gruncie, zresztą nikt niema prawa odbierać życia swemu bliźniemu, choćby nawet były po temu nie poszlaki tylko, ale nawet dowody! Taką szkodliwą dla ogółu jednostkę wystarczy publicznie napiętnować, aby społeczeństwo miało się przed nią na baczności, ale z wymierzaniem sobie doraźnej sprawiedliwości należy być ostrożnym! Że społeczeństwo nasze do tego jest nieprzyzwyczajonem i że ten ruch nie jest dlań sympatycznym, mamy choćby w tem dowód, że np. w obecnym wypadku poturbowano dość dotkliwie mordercę, choć bezpośrednio po czynie oświadczył: „Zabiłem szpiega“!

Do tego dodać trzeba, że wyroki partyjne mogą się opierać na fałszywych danych, że mogą tu wchodzić w grę osobiste porachunki, pokryte tylko płaszczykiem rzekomego wyroku, a każdy zrozumie, że nie jest to droga, którą nam kroczyć należy, ale właśnie omijać, jako nie wiodącą do żadnego celu, a wprowadzającą tylko w społeczeństwo nieład i dezorganizacyę.

Oburzenie przeciw zagranicznym poddanym, przebywającym pomiędzy nami staje się coraz większe. Dzięki ich napływowi podniosły się ceny mieszkań i żywności, a niestety, przyznać się musi, że jest między nimi spory procent jednostek, które z jakimś ruchem wolnościowym nie mają nic wspólnego, ale pragną się tylko obłowić. Oni to właśnie są przyczyną, że z pewnem niedowierzaniem spoglądamy na każdego obcego przybysza, choćby był nam nawet najbliższym, bo każdemu przychodzi zaraz na myśl: a czy to przypadkiem nie bandyta, który tylko na ustach ma słowo „ojczyzna“, a w sercu zupełnie co innego! Źle się dzieje i nisko upadliśmy, jeśli podobnie wzniosłe hasła mają służyć jako parawan dla zwierzęcych instynktów.

Nie odnoszę tego bynajmniej do obecnego wypadku, poruszam tę kwestyę jedynie z powodu nadarzającej się sposobności, sprawa bowiem, o której wspomniałem jest bardzo smutną i powinna dla miarodajnych czynników być bodźcem do obmyślenia środków zaradczych na przyszłość, by coś podobnego już się nie powtórzyło!

Powołane są w pierwszym rzędzie do tego władze, w drugim całe społeczeństwo i każdy z nas z osobna, a tylko wspólna praca może doprowadzić do celu. Społeczeństwo, w które dostanie się bezrząd i anarchia, skazanem jest na zatracenie, a my do tego chyba nie możemy dążyć!...

Niewesołe to myśli, wybacz mi jednak cierpliwy Czytelniku i ty nadobna Czytelniczko, dokonany fakt wpłynął na mnie dość przygnębiająco, a przyczyniła się do tego i pogoda niepewna, która po kilka razy dziennie darzy nas deszczem. Deszczowej pory można się było właściwie spodziewać, skoro magistrat zawiadomił ogół, że rozpoczyna rozkopywanie ulicy Floryańskiej i Grodzkiej, celem ich wyasfaltowania. Te dwa okresy, tj. deszczowy i asfaltowy schodzą się u nas z zasady razem. To tylko ułatwia roboty, ziemia bowiem jest bardziej miękka i podatna, a zarazem wpływa dodatnio na przemysł krajowy, każdy bowiem z mieszkańców musi się zaopatrzyć w porządne obuwie i kalosze. I lekarze nie mają nic przeciw temu, rozkopanie ulic przynosi im plon obfity, nastręczając pacyentów z powykrzywianemi nogami i sińcami, nabitymi na czyhających na każdym kroku przeszkodach. Na kupach piasku i kamieni wychowuje się też pokolenie młodych taterników, obchodzących się zupełnie bez Zakopanego.

Nie narzekajmy więc, skoro jak dowodnie się przekonujemy, tyle z tego odnosimy korzyści. Kupcy jednak i przemysłowcy, mieszkający przy tych ulicach innego są zdania! Zeszły rok dał się im we znaki, gdyż całe prawie lato i jesień układano tam chodniki a potem je poprawiano i rozszerzano, w tym roku czeka ich ta sama perspektywa, przyznać trzeba, nie bardzo dla kieszeni wesoła!...

Wakacye powoli dobiegają końca ku utrapieniu młodzieży, która będzie musiała powrócić do dusznych sal naszych c. k. fabryk oleju, zwanych powszechnie gimnazyami i szkołami realnemi. Także i politycy kończą swe wywczasy wakacyjne i ściągają powoli do Wiednia. Jak się zdaje austryacka polityka tak wewnętrzna jak zewnętrzna cierpi na zatłuszczenie (znamienny objaw: obstrukcya), większość bowiem polityków i dyplomatów szukała pomocy w Maryenbadzie i tu właśnie zaciśnięto węzły trójprzymierza, do którego właściwie należą tylko dwa państwa, bo Włochy, choć się do trójprzymierza przyznają, sympatyami kiernją się w inną stronę! Skoro jednak mogła być w Krakowie ulica Różana, na której róż nigdy nie widziano, co najwyżej skromnie pod ścianami kryjące się fijołki, a obecnie jest Zacisze, słynące z tego, że cały dzień panuje tu huk i stuk, dlaczegóż niemoże być trójprzymierze z dwoma tylko czynnymi członkami?

Polityków czeka ciężka praca, we wrześniu bowiem zwołane będą sejmy krajowe na dwutygodniową sesyę, a przedtem trzeba będzie tak sprawy uregulować, aby uruchomić sejm czeski, cierpiący, jak wiadomo, na chroniczną obstrukcyę raz czeską, drugi raz niemiecką. Proponowano już, aby wszystkich jego członków na koszt rządowy wysłano na kuracyę do Maryenbadu, projekt upadł z powodu *veta* finansowego ekscelencyi Bilińskiego, który powiedział: N e m a h r o s z i! Z początkiem października zbiorą się znowu delegacye, a zwołanie parlamentu zamierzonem jest na czas między 14 a 18 października.

Niewesołe wiadomości dochodzą nas ciągle o budżecie austryackim na rok przyszły, który ma mieć znowu deficyt w kwocie około stu milionów. Rzecz u nas zwykła, pan minister skarbu posiada jednak czerwony ołówek, którym skreśli najrozmaitsze pozycye, jeśli Izba nie przyzna mu nowego pokrycia wydatków. Prace nad reformą podatków są na razie zawieszone, odnośni bowiem referenci są na urlopach.

Nie jest także wykluczoną możliwość rozwiązania parlamentu, choć rząd ociąga się, gdyż brak mu widoków zwycięstwa przy nowych wyborach. Największe stronnictwo, na którem opiera się obecny gabinet, frakcya chrześcijansko-socyalna, znajduje się w stanie rozkładu. Koło polskie skrzypi także przeraźliwie, brak mu bowiem smarowidła, a sprychy okazują tendencyę do zupełnego rozlecenia się w rozmaite strony.

Niemało przyczyniła się do tego i afera, tak zwana Germanowska, która wniosła tam sporo fermentu. Narodowi demokraci bronią się wprawdzie, że przez ustąpienie posła Battaglii i eksmisyę Germana, stronnictwo nie osłabi się wcale, gdyż ono nie prowadzi polityki z dnia na dzień, ale przewiduje wszystko na daleką metę, faktem jest jednak, że i tu trzeba mówić o rozłamie, boć to także słabość chroniczna, na którą cierpią wszystkie nasze stronnictwa.

O ustąpieniu Głąbińskiego na razie niema mowy, konserwatyści wiedzą bowiem, że żadnego ze swych ludzi nie przeprą na prezesurę, a wolą mieć dotychczasowego prezesa, gdyż za nim stoi całe stronnictwo narodowo demokratyczne, aniżeli kogoś nowego, o którym niewiadomo, jakby pokierował polityką. Według informacyi między kanałami a zajściami w Kole niema żadnego związku. Koło żąda głównie budowy kanału Dniestr-Wisła i nad tem odbywają się obecnie studya. W kołach polskich sądzą, że przyjdzie do porozumienia z rządem w tym kierunku, gdyż sfinansowanie projektu wymagałoby około sto dwadzieścia milionów koron, których rząd mógłby dostarczyć krajowi, zwłaszcza że mu przecież „sprzyja“... Ten projekt zyska prawdopodobnie poparcie i Rusinów, gdyż uwzględnia w głównej mierze interesy wschodniej części kraju, chyba żeby się im nie podobało, aby ukraińska woda Dniestru miała się zmieszać z polską wodą z Wisły! Bo i o to może im chodzić, ze względu na ukraiński charakter wschodniej Galicyi.

Dużo jednak upłynie wody tak we Wiśle, jak i Dniestrze, zanim budowa kanału dojdzie do skutku, między obietnicą bowiem a jej wykonaniem jest u nas zawsze przepaść niezgłębiona, a tu przecież nawet jeszcze nie obiecano!

Z resztą kanałów, to jest z kanałem Dunaj-Odra-Wisła, nad którym tyle lat rozmyślano, i nawet grunty pod budowę wykupiono, stało się coś, co tylko w Austryi jest możliwem! Ulegając presyi szwabskiej, przyszedł rząd do przekonania, że kanał jest niepotrzebny, a zresztą brak na niego pieniędzy. Grunty, które już wykupiono, wydzierżawiono napowrót byłym właścicielom a panowie z Dyrekcyi budowy kanałów zaczynają robić studya nad nowym kanałem Wisła Dniestr, zapewne jednak tylko po to, aby po kilku latach dojść znów do przekonania, że albo wybudować się nie da, lub też choćby się dał, to znów nie będzie się rentować. I tak dalej, w koło Macieju!

Ostatecznie jednak powinniśmy przyjść do przekonania, że bez kanałów możemy się obejść, mając Wisłę pod bokiem. Daleko gorzej, że zapowiada się ostra zima, a z nią to nie żarty. Przepowiednię moją opieram na tej okoliczności, że w ubiegłym tygodniu berlińskiemu kuśnierzowi Sygalowi skradziono futer za pięćdziesiąt tysięcy. Skoro więc złodziej zaopatruje się w ten towar, widać czuje jego potrzebę. Im zaś zima ostrzejsza, tem droższe węgle, cieszmy się więc nadzieją, że i ten artykuł codziennego życia podskoczy w cenie, tak, jak to ciągle i systematycznie dzieje się z chlebem i mięsem. Istnieje wprawdzie jakaś tam komisya aprowizacyjna z łona Rady miasta, która ma regulować ceny, zazwyczaj jednak spoczywa na laurach, zbierając się chyba wtedy, gdy rzeźnicy lub piekarze już ceny podnieśli. Komisya rozpoczyna wtedy obrady, nim jednak dojdzie do odpowiedniego wniosku, pokazuje się, że ceny tymczasem już trzykrotnie podniesiono, należy więc zreasumować powziętą uchwałę, a obrady rozpocząć na nowo.

Co się tyczy mojej czcigodnej osoby, to ja właściwie nic sobie nie robię z podwyższenia cen, gdyż powoli przyuczam się na głodomora, albowiem w obecnych czasach tylko w ten sposób można dojść do majątku. Gorsze zmartwienie sprawia mi fakt, że doprawdy nie wiem, w której z wielkich uroczystości politycznych mam wziąć udział, bo przynajmniej jedną z nich trzeba zaszczycić swą obecnością. Odbędą się zaś prawie równocześnie! Mam tu na myśli wprowadzenie się cesarza Wilhelma wraz z rodziną do nowego zamku w Poznaniu i uroczystość familijną (zarznięcie prosiaka) na dworze czarnogórskim z okazyi przywdziania przez księcia Nikitę korony królewskiej. W czasie pierwszej wygłosi cesarz wspaniałą mowę, która podobno nie będzie się podobać Polakom, a jest już gotowa, tylko kruszeje tymczasem. Nie chciałbym słyszeć ujadania na Polaków, wolę je przeczytać, wieprzowiny zaś z dawna nie jadam, choć metrykę mam w porządku.

X.

Nowy system aeroplanu.

(Do illustracyi na str. 4.)

W miarę postępu i rozwoju awiatyki, w miarę coraz liczniejszych doświadczeń i coraz nowego udoskonalania tej gałęzi sportu, pojawiają się nowe typy aeroplanów, różniących się od pierwotnych, za



Tragedya w Tatrach: Kierownik ekspedycyi turystyczny Maryusz Zaruski.

jakie uważać należy systemy Bleriota wśród jednopłaszczyznowych, a braci Wrightów wśród dwupłaszczyznowych.

Wśród tych nowych typów wyróżnia się bardzo dodatnio aeroplan austryackiego pochodzenia, pomysłu inżyniera Penkali, znanego już z wynalezienia piór do napełniania atramentem.

Aeroplan jego pomysłu, dwupłaszczyznowiec, różni się od innych bardzo znacznie. Płaszczyzna górna, w formie długiego prostokąta, ma rozmiary większe aniżeli dolna, tworząca trójkąt, zakończony ogonem, przypominającym ogon ptaka. Ogon ten tworzy równocześnie ster boczny aeroplanu, poruszany zapomocą dwu dźwigni. Cała powierzchnia aeroplanu wynosi 25 m², ciężar zaś całej maszyny wraz z zapasem benzyny nie przenosi 330 kg.

Aeroplan inżyniera Penkali znalazł ogólne uznanie wśród znawców, a w najbliższym czasie podejmie wynalazca próbne wzloty.

Polacy amerykańscy w Woli Dobrostańskiej.

(Do illustracyi na str. 3.)

Delegaci polscy z Ameryki, którzy po uroczystościach grunwaldzkich w Krakowie pojechali do Lwowa i przez kilka dni bawili w stolicy kraju, zaproszeni zostali przez radę miejską do Woli Dobrostańskiej, celem zwiedzenia znajdujących się tam urządzeń i zakładów, zaopatrujących Lwów w wodę.

W wycieczce tej, prowadzonej przez prezesa m. komisyi wodociągowej, prof. dr. Placyda Dziwińskiego, wzięli udział goście zamorscy, grono członków lwowskiej rady miejskiej i dyrektor wodociągów miejskich, inż. St. Alexandrowicz.

Po szczegółowem zwiedzeniu zakładu, w czasie którego dyr. Alexandrowicz nie szczędził wyczerpujących objaśnień, zasiedli goście do skromnej, zato szczodrze pięknemi i podniosłemi mowami przeplatanej przekąski.

Wieczorem powrócili wszyscy do Lwowa, a goście z drugiej półkuli zapewniali, iż pobyt swój w stolicy kraju zaliczać będą do najprzyjemniejszych w życiu.

Komunikacya balonowa w Szwajcaryi.

(Do illustracyi na str. 4.)

Ogromny postęp w dziedzinie aeronautyki, jakiego świadkami jest dzisiejsze pokolenie ludzkie, zaznacza się nietylko rekordowymi wzlotami, budzącymi podziw brawurą odważnych żeglarzy, ale przedewszystkiem praktycznem zastosowaniem dokonanych ulepszeń do potrzeb ludzkości.

Takiem praktycznem zastosowaniem ulepszonych dziś balonów ze sterem jest stworzenie stałej komunikacyi balonowej w Szwajcaryi, gdzie od dawna dokonywano pomyślnych prób z balonami.

Pierwszą stałą stacyę balonów pasażerskich otwarto niedawno w mieście Lucernie. Założyło ją miejscowe towarzystwo „Aero", wzniósłszy dużą hallę, na pomieszczenie statków; pierwszego statku pasażerskiego dostarczyła Lucernie spółka „Generale Transaeriénne". Statek ten, systemu półsztywnego, przypominający typ Lebaudy'ego, nosi nazwę „Miasto Lucerna I."

Od kilkunastu dni odbywa statek „Miasto Lucerna I," codziennie podróże nad jeziorem czterech kantonów i nad jego brzegami. Oczywista rzecz, że podróże te budzą w całej okolicy wielką sensacyę i do Lucerny ściągają bardzo licznych turystów. Wedle zapewnień osób, które próbowały już jazdy napowietrznej wspomnianym statkiem, jazda dostarcza wrażeń bardzo miłych. Mimo szczupłości miejsca w gondoli, czują się wszyscy podróżni zupełnie bezpieczni, a uczucie to jest głównym warunkiem, by podróż była przyjemna.

Za przykładem Szwajcaryi pójdą zapewne i inne państwa, tak że doczekamy się wnet potężnego rozwoju najnowszego sposobu komunikacyi.

Król-sportsman.

W poprzednim numerze wspomnieliśmy o królu Ferdynandzie bułgarskim, który zdobył sobie rekord światowy w dziedzinie lotnictwa, dziś zaznaczyć musimy, że i drugi z jego koronowanych kolegów jest zamiłowanym sportsmanem. Jest nim król hiszpański Alfons XIII, który z szczególną predylekcyą uprawia sport żeglarski. Choć w kraju jego stosunki tak się ułożyły, że na każdym kroku napotyka na różne trudności, które grożą nawet zmianą dotychczasowych stosunków w drodze prze-



Tragedya w Tatrach: Znalezienie zwłok śp. Szulakiewicza przez ekspedycyę pogotowia ratunkowego.

wrotowej, władca Hiszpanów swobodnie żegluje i przynajmniej na tem polu zbiera zasłużone laury.

W dniu 25 lipca odbyły się w miejscowości Santander regaty, w których król Alfons wziął udział na swym jachcie „Hispania", kierując osobiście sterem. Wynik był dla niego wspaniały. Jacht zdobył pierwszą nagrodę hiszpańską, *coupe cantabrique*. Królewskiego zwycięscę powitała ludność owacyjnie, on dziękował za uznanie, powiewając czapką. W ślady swego sternika poszła załoga jachtu.

Możnaby przypuszczać, że nagroda hiszpańska dostała się królowi przez kurtuazyę poddanych, tym-



Tragedya w Tatrach: Przeniesienie zwłok śp. Szulakiewicza.



Uroczystość familijna na dworze cesarkim: Arcyksiążę Franciszek Salvator i jego małżonka, arc. Marya Walerya.

czasem tak nie było. Król Alfons jest rzeczywiście doświadczonym żeglarzem, gdyż bezpośrednio potem wziął udział w wyścigach jachtów w Biarritz. Były to popisy międzynarodowe. Zaraz na drugi dzień po przybyciu na miejsce stanął królewski jacht, kierowany przez Alfonsa, u startu. Wyścigi odbywały się między Saint Sebastyan i Biarritz. I tu szczęście nie odstępowało królewskiego żeglarza, zdobył bowiem pierwszą nagrodę prezydenta rzeczypospolitej.

Z tego widać, że łatwiej jest kierować łodzią, niż sprawami państwowemi.

Uroczystość familijna na dworze cesarskim.

Chyba żaden z panujących nie cieszy się tak wielką sympatyą swych poddanych, jak cesarz Franciszek Józef I. Choć w skład monarchii habsburskiej wchodzą najrozmaitsze narodowości, osobę sędziwego cesarza otacza wszędzie szacunek i gorące przywiązanie ludności. Każda też pamiątkowa rocznica dworska obchodzoną jest w całym kraju z taką radością, jakgdyby chodziło nie o święto dworskie, ale o ogólną narodową uroczystość. Dowodem lojalnych uczuć względem cesarza i sympatyi, jaką się sędziwy monarcha cieszy pośród najszerszych sfer ludności całego kraju, a nawet poza jego granicami, to manifestacye w dniach jubileuszu cesarskiego, które wypadły tak wspaniale. I w przyszłym tygodniu obchodzić będą na dworze cesarskim rzadką uroczystość, — ośmdziesiątą rocznicę urodzin cesarza. Mieszkańcy Ischlu, gdzie cesarz spędza zwykle lato, przygotowują na ten dzień wiernopoddańcze obchody, sama uroczystość odbędzie się jednak, w myśl wyrażonego życzenia cesarza, w ścisłem kółku rodzinnem.

Podobnie uczczono także w dniu 31 lipca dwudziestą rocznicę zaślubin najukochańszej córki cesarza, Maryi Waleryi z arcyksięciem Franciszkiem, Salwatorem. Dwadzieścia lat upłynęło od chwili, gdy dwoje młodych połączyła na wieki stuła kapłańska i to w tej samej miejscowości, gdzie dziś święcą pamięć tej chwili, to jest w Ischlu. Cesarz Franciszek Józef kocha nadzwyczaj swą córkę i jej potomstwo, które także z ogromnem przywiązaniem zwraca się do cesarskiego dziadzia.

Rocznicę ślubu święcono w najściślejszem kółku rodzinnem, przybyłem z Wallsee do Ischlu, nie przeszkodziło to jednak, że z różnych stron nadeszło mnóstwo życzeń dla pary jubilatów.



Tragedya w Tatrach: Zaginiony przewodnik Klimek Bachleda.

Wycieczka „Straży Polskiej“ do Niepołomic.

Ruchliwy i patryotycznie usposobiony zarząd krakowskiej „Straży Polskiej“ urządza peryodyczne wycieczki do Niepołomic, celem zwiedzenia kopca grunwaldzkiego i wzięcia udziału w sypaniu pamiątkowej mogiły. Ostatnia wycieczka odbyła się w ubiegłą niedzielę, a wzięło w niej udział około dwieście pięćdziesiąt osób z samego Krakowa. Ze stacyi kolejowej w Podłężu udano się piechotą ku Niepołomicom. Przed samem miastem czekała miłych gości niespodzianka.

Na obszernem polu pod miastem, w sąsiedztwie koszar kawaleryi, umieścił się wielotysięczny, różnobarwny tłum włościaństwa, przybyłego z bliższych i dalszych okolic, a na jego czele uwijała się banderya Krakusów w strojach uroczystych, tych samych, w jakich zjawiła się na obchodzie grunwaldzkim w Krakowie.

Zgromadzone rzesze rzuciły się do sypania kopca. Pod kierunkiem członków niepołomickiego „Sokoła“ około stu taczek pracowało z wysiłkiem, zwożąc ziemię na pagórek, którego wysokość sięga już kilku metrów. Widziałeś tu obok siebie i miejskiego inteligenta i włościanina, obok pani w jedwabiach pracowała biedna wyrobnica, by bodaj jedną cegiełkę przyłożyć do ogólnej budowy. Do późnej nocy trwało sypanie kopca przy dźwiękach miejscowej orkiestry.

Około godziny piątej wyruszyły banderye włościańskie z muzyką na czele do Staniątek, gdzie się odbywał obchód grunwaldzki, zakończony patryotycznym wieczorkiem, krakowscy goście zaś zwiedzili starożytny zamek z czasów Kazimierza Wielkiego. Biorący udział w sypaniu kopca składali podpisy na pamiątkowym akcie fundacyjnym kopca, któryto akt wmuruje się w kamień węgielny. Uroczystość poświęcenia odbędzie się prawdopodobnie z końcem sierpnia lub początkiem września.

Krakowiacy późnym wieczorem powrócili pod Wawel, unosząc ze sobą wspomnienia podniosłej chwili.

Operetka lwowska w Krakowie.

Szybko minęły dwa miesiące, przeznaczone na pobyt lwowskiej trupy operowej i operetkowej w Krakowie. Szybko minęły, jak wszystko, co miłe i przyjemne. I trzeba będzie czekać dziesięć miesięcy do chwili, w której znowu ujrzymy sympatycznych gości na scenie krakowskiej.

Od pierwszego przyjazdu lwowskiej operetki do Krakowa minęło właśnie okrągłych trzydzieści lat. Był to więc rok niejako jubileuszowy. Zmieniły się w tym czasie stosunki w teatrze lwowskim, zmieniły się w Krakowie, zmienili się też ludzie tu i tam.

Pierwszą wyprawę Lwowiaków do Krakowa wiódł ówczesny dyrektor lwowskiego teatru śp. Dobrzański. Powodzenie było nadzwyczajne, zarówno materyalne jak i moralne. Gości lwowskich witano



W czterdzieści lat po maturze: Maturzyści gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie z r. 1870 w 40 lat po egzaminie dojrzałości, z profesorem swoim, radcą dworu Bolesławem Baranowskim w pośrodku.

i podejmowano w Krakowie bardzo serdecznie, niemal owacyjnie, a prezydent Krakowa, śp. Zyblikiewicz, pospieszył osobiście za kulisy w Starym teatrze, by podziękować imieniem miasta za uprzyjemnienie mieszkańcom podwawelskiego grodu pobytu w czasie letnich miesięcy.

Od tego czasu prawie co roku bawiła trupa lwowska w Krakowie przez czas wakacyjny, dając

Dla muzykalnej publiczności Krakowa dwa miesiące przedstawień trupy lwowskiej są zawsze bardzo miłem, bardzo sympatycznem urozmaiceniem i i pozwalają rozkoszować się najpiękniejszemi wrażeniami.

Żegnając z żalem odjeżdżających w przyszłym tygodniu artystów lwowskich, zamieszczamy w dzisiejszym numerze kilka dalszych sylwetek.

pierw przez takiego mistrza, jakim był ś. p. Walery Wysocki, następnie przez prof. Augusta Dianniego. Mezzosopranistka — o bardzo przyjemnym timbrze głosu, wydatnym zwłaszcza w średnicy i tonach dolnych, który — wsparty wybornymi warunkami zewnętrznymi, smukłością postaci i pięknem, bardzo wyrazistem okiem — zapewni pannie Katarzynie rzetelne na scenie powodzenie.



Karolina Kliszewska.



Aleksandra Szafrańska.

przedstawienia bądź w gmachu teatralnym, bądź w parku krakowskim. Oczywista rzecz, że personal opery i operetki lwowskiej zmieniał się w tym okresie czasu bardzo często i dziś prócz sekretarza Sachorowskiego, chyba p. Kasprowiczowa tylko pamięta chwile pierwszych lat pobytu w Krakowie.

Katarzyna Sawicka.

W bieżącym sezonie „lwowskim“ zawarła publiczność krakowska miłą znajomość z młodą śpiewaczką, panną Katarzyną Sawicką, lwowianką — i we Lwowie kierunku śpiewackim kształconą, naj-

Pracę artystyczną rozpoczęła debiutem na scenie poznańskiej, gdzie przebywała rok jeden, poczem zaangażowaną została na scenę lwowską. Na „theatrum“ krakowskiem kreowała szereg ról, zdobywając ogólne uznanie tak publiczności, jak i krytyki. Lola w „Cavaleryi“, Zofia w „Halce“, Matka w „Ja



Wycieczka „Straży Polskiej, do Niepołomic: Uroczystość sypania kopca grunwaldzkiego. (Fot. A. Pawlikowski)

siu i Małgosi“, nadto cały szereg ról w operetkach, dały świadectwo rzetelnej pracy i talentu młodej artystki. W operetkach zwróciła Katarzyna Sawicka uwagę rolą cyganki w „Krysi leśniczance“, a przedewszystkiem postacią księcia w „Nietoperzu“, opracowaną i odtwarzaną z tym silnym argumentem, jakim jest niezaprzeczona inteligencya artystyczna. Dajemy podobiznę artystki w tej właśnie roli.

Karolina Kliszewska.

Zawsze mile widziana na scenie i zawsze serdecznie witana, choć sposobność do tego dość rzadko się nadarza. A szkoda doprawdy, bo talent pani



Katarzyna Sawicka.

Kliszewskiej wart, by go częściej oglądać, a głos, by go częściej słyszeć.

Nieliczne występy p. Kliszewskiej zapisały się jednak w pamięci bywalców teatralnych trwale i sympatycznie. Pozwoliły też stwierdzić, że nie opuszcza jej nadzwyczajny, choć bardzo dyskretny humor, że śpiewa zawsze pięknie, a z roli każdej, choćby najmniejszej, potrafi zrobić prawdziwe cacko sceniczne.

Stąd też cieszy się „Klisia“ — jak ją ogólnie nazywają — tak wielką i tak niekłamaną sympatyą wśród wszystkich, którzy ją znają, choćby tylko ze sceny.

O zaletach rzadkiego talentu p. Kliszewskiej pisaliśmy już niejednokrotnie w „Nowościach“. Powtarzanie komplementów jest więc chyba zbyteczne. — Zamieszczając w tym numerze portret tej cenionej artystki według najnowszego zdjęcia fotograficznego, życzymy jej szczerze dalszych a jak najczęstszych sukcesów na scenie, do której tak jest przywiązana i którą tak ukochała.

Felicya Brzeska.

Przed pięciu czy sześciu laty wystąpiła po raz pierwszy na scenie lwowskiej, jako Gejsza w operetce pod tym tytułem. I odrazu zdobyła sympatyę publiczności. Nic w tem dziwnego. Postać wyniosła, nadzwyczaj zgrabna budowa, twarz o ujmujących i przedziwnie pięknych rysach, głos dźwięczny, duży, doskonale postawiony, przytem muzykalność wielka i inteligencya niepoślednia. Czyż można więcej żądać?

P. Brzeska występuje w operetce, choć śmiało może sięgnąć po laury w operze. Dowodem niedawny występ w partyi Filiny w „Mignon“. W trudnej tej, wymagającej niezwykłej muzykalności partyi, okazała p. Brzeska wszystkie zalety swego talentu i zyskała ogólny poklask, najzupełniej zasłużony.

W operetce jest siłą doskonałą, ujmującą i głosem miłym, i postacią powabną, i toaletami wykwintnemi a pełnemi smaku, i grą dyskretną. W tym roku publiczność krakowska miała więcej sposobności do ocenienia talentu sympatycznej tej artystki, gdyż z powodu nieobecności p. Schupp, repertuar jej objęła p. Brzeska, wywiązując się z zadania ku zupełnemu zadowoleniu i krytyki i publiczności.

Aleksandra Szafrańska.

Wystąpiła kilkakrotnie w tym roku, pod sam koniec sezonu, jako Małgorzata w „Fauście“, Mimi w „Cyganeryi“, „Madame Butterfly“ i Antonia w „Opowieściach Hoffmana“.

Ci, którzy słyszeli p. Szafrańską w zeszłym roku, gdy debiutowała jako Małgorzata w „Fauście“, i którzy ją słyszeli w tym roku, przyznają zgodnie, iż młoda artystka uczyniła w tym stosunkowo niedługim czasie ogromne postępy pod każdym względem. A choć już debiut uprawniał do pięknych nadziei, gdyż wykazał może niezbyt wielki ale nadzwyczaj miły i piękny głos i wielką muzykalność, to przecież wykonanie wspomnianych partyi po roku tylko dalszych studyów, stanowiło miłą niespodziankę dla tych wszystkich, którzy interesowali się rozwojem talentu sympatycznej Krakowianki.

Bo p. Szafrańska jest Krakowianką i w Krakowie kształciła się dotychczas, tu też stawiała pierwsze kroki w swej karyerze artystycznej.

Najtrudniejsze zadanie miała p. Szafrańska w roli tytułowej opery „Madame Butterfly“, bo musiała walczyć z wspomnieniami niezrównanej kreacyi p. Dębickiej, która tak sympatycznie zapisała się w pamięci melomanów krakowskich. I jeśli z tej próby wyszła zwycięsko, to już dowód silny, że z zadania wywiązała się bardzo dobrze. Istotnie dała p. Szafrańska w tej roli postać bardzo wyraziście narysowaną, grała z przejęciem szczerem, a śpiewała bez zarzutu, pokonywując nadzwyczaj szczęśliwie ogromne trudności tej dużej i odpowiedzialnej partyi.

Dotychczasowe, tak znaczne powodzenie młodziutkiej śpiewaczki, jest zapowiedzią bardzo pięknej przyszłości.

Z półek księgarskich.

Znana zaszczytnie w naszym kraju księgarnia nakładowa Wilhelma Zuckerkandla wydała nowa seryę dziełek, wchodzących w skład **Biblioteki Powszechnej.**

Składają się na nią:

Nr. 801. Juliusza Słowackiego: **Złota czaszka** (fragment dramatu.

Nr. 802—803. P. Wergilusza Marona: **Georgiki** w tłómaczeniu Feliksa Frankowskiego, opracował, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Hennryk Krzyżanowski.

Nr. 804—806. Ch. Dickensa: **Szkice.** (Horacy Sparkins, Pan Minns i jego kuzyn, Pensyonat tłomaczył E. Ż).

Nr. 809—810. K. M. Karjagina: **Konfucyusz** jego życie i filozoficzna działalność. Z rosyjskiego tłómaczył Piotr Bojko.

W „Bibliotece dla młodzieży“ wydawanej przez tę samą firmę, opuściły prasę:

1. **Bratnie dusze,** komedyjka w jednym akcie napisała R. J. Pniowerówna.
2. **Legionista z nad Niemna,** z powieści Elizy Orzeszkowej „Nad Niemnem“, przerobiła Józefa Januszówna.



Felicya Brzeska.

Kącik humorystyczny.

Z tajników sądowych.

Pewien energiczny sędzia powiatowy miał do osądzenia sprawę jakiegoś indywiduum, które dopuściło się zbrodni. Świadkowie i rzeczoznawcy stwierdzili jednogłośnie, że winowajca jest upośledzonym umysłowo. Sędzia mimo to skazał go na areszt, motywując wyrok tem, że nie da się stwierdzić, czy on przypadkowo przez własną winę w ten stan nie popadł.

Ostrożny i dowcipny.

— Mój człowieku — rzecze pani Helena do żebraka — macie tutaj halerza, ale pamiętajcie, abyście go nie przepili!...

— O! pani dobrodziejko! — odpowiada żebrak — ja zaraz połowę zaniosę do kasy oszczędności!

Kwiecisty styl.

Pan Onufry Lizajło, emerytowany nauczyciel ludowy, lubował się w kwiecistym stylu i nigdy nic nie powiedział wprost, ale zawsze używał iście Homeryckich porównań. Z końcem czerwca wyjechał z Krakowa na świeże powietrze na Grzegórzki, drugiego zaś lipca zjawił się punktualnie w urzędzie podatkowym, aby odebrać przynależną pensyę.

Pełniący służbę oficyał, który już od dwudziestu kilku lat wypłacał pensyę panu Onufremu, uważał za swój obowiązek zapytać go, jak się ma i jak spędza wakacye.

— Dziękuję! Dziękuję! — odpowiada zagadnięty — zdrowie jakoś tam dopisuje, ale te gorąca, panie, to dały mi się już we znaki. Od wczesnego rana do późnego wieczora kręci się tylko człowiek z kąta w kąt, jak *zdechła mucha...*

Rozwiązanie zagadek z Nr. 31.

Logogryf:

B o l e s ł a w
K a r y n t y a
G a r n i z o n
S m o t r y c z
M u c h o m o r
C h e ł m s k a
F a n a t y z m
O r e n b u r g
J a g i e ł ł o
C z e r w o n y
C r o m w e l l
H e r a k l i t
S o c z e w k a
A k a d e m i a
I l l i n o i s

Logogryf:

K a s y n o
O f i c e r
N a r c y z
O r a n j e
P e j p u s
N a r o c z
I r k u c k
C z ó ł n o
K r a k ó w
A n g l i a

Łamigłówka: Jaka praca, taka płaca.

Łamigłówka arytmetyczna:

1	3	5	7	9
9	5	1	3	7
3	9	7	5	1
7	1	3	9	5
5	7	9	1	3

Szarada: Kopernik.

Rebus: Nie trzeba dopuszczać, ażeby na drodze przyjaźni trawa wyrosła.

Dobre rozwiązania nadesłali: O. Górkowa Chyrów, A. Lechówna Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, W. Knapik Kraków, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, F. Gebhardt Białka, M. Planecka Białka, K. Łopatkiewicz Stanisławów, J. Górecki Rzeszów, K. Rożański Płock, W. Radoszewski Głogów, S. Lindenbaum Czerniowce, W. Obst Piotrków, M. Więckowska Warszawa, J. Sikorski Jasło, S. Nowacki Jordanów, M. Sawlinaki Wilno, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków. J. Karpowicz Rabka, M. Z'elinska Zakopane, H. Engelberg Krosno, C. Wang Rzeszów, M. Klappolz Rzeszów, S. Karpiński Sandomierz, W. Ostrowski Sandomierz, W. Swirski Lublin, K. Czechowicz Wilno, J. Mazaraki Petersburg, K. Nowak Granica, S. Lisowski Jaworów, M. Sielecki Kraków, W. Ogonek Rzeszów, J. Breit Lwów, K. Thom Płock, W. Thnn Zalesie, Z. Wakulski Jasło, J. Ramult Lwów, S. Pszorn Soboty, K. Turecka Tarnopol, W. Krupski Zborów, M. Czeczótka Podłęże, J. Menczak Przemyśl, W. Budzianowska Matyjowce, S. Faliszewski Baligród, M. Markiewicz Uście Solne, K. Fuchs Czeremchów, J. Badura Rożdzień, A. Bocsoń, Bóbrka, M. Sulima Skawina, S. Matwij Bochnia, J. Fingerer Stryj, J. Lipski Kraków, M. Staniszewski Liszki, K. Strzelbicki Łódź, W. Link Wiedeń, J. Goliński Jaworów, K. Kwaśniewski Kraków, J. Bandrowski Żytomierz, M. Kulinowska Jasło, J. Moszczyński Radłów. J. Czarkowski Kołomyja, J. Kuczera Sambor, J. Wyka Kraków, S. Zachara Podgórze, S. Krzyżanowski Kraków, M. Górska Krosno, S. Stolzmann Warszawa, K. Armatys Jodłów, M. Jasiński Ostrów, S. Rogoziński Lwów, H. Raczyński Sanok, J. Link Płock, M. M. Sidzińska Jasło, B. Liskowacki Przemyśl, K. Cieplik Lwów, S. Krzyżanowski Podgórze, F. Schmidt Kraków, M. Mrozowicz Stanisławów, K. Arciszewski Lwów, M. Krawecka Brzesko, A. Trzeciak Kraków, B. Ciszewska Lwów, J. Tuch Solec, J. Dobija Bielsk, K. Jahoda Cieszyn, M. Spett Jodłowa.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **K. Turecka, Tarnopol.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Dla Królewiaka: W Krakowie wybito rozmaite medale grunwaldzkie. Nabyć je można u każdego jubilera o ile są srebrne lub bronzowe, w handlach galanteryjnych otrzymać można także z chińskiego srebra w formie plakiet.

WP. J. Badura, Rożdzień: W tych dniach odpowiemy listownie. Arkusz, którego brakowało, wysłany.

WP. Bocsoń, Bóbrka: Wysłanie nagrody opóźniło się z powodu oddania introligatorowi książek do oprawy. W tych dniach nadejdą.

WP. Prof. Świderski, Lwów, ul. Pełczyńska: Nie możemy ze względów cenzuralnych.

WP. Piotr Parylak Lwów: Heksametru nie umieścimy, gdyż wogóle w piśmie naszem nie zamieszczamy poezyi.

WPan W. Radwański, Kraków: Umieścimy w jednem z następnych numerów, jednakowoż w przeróbce.

WPani K. T., Tarnopol: Umieścimy w swoim czasie. Obecnie posiadamy obfity zapas.

WPani Marya F., Skawina: Otrzymaliśmy, nadają się do druku, ale obecnie pozbywamy się dawnych, stąd pewna zwłoka.

WPan M. Czeczótka. Podłęże: Umieścimy.

WPan M. E. Spett, Jodłowa: Umieścimy.

Z półek księgarskich.

Trzydziestolecie (1879—1909) Szkoły zawodowej przemysłu drzewnego w Zakopanem, opracował Józef Turek z 23 illustracyami. Nakład autora. Skład główny w księgarni L. Zwolinskiego w Zakopanem.

Broszurka zapoznaje nas dokładnie z początkiem i działalnością szkoły zawodowej w Zakopanem, która potrafiła sobie w stosunkowo krótkim czasie zyskać ogólne uznanie.

XXVII. Sprawozdanie z czynności Towarzystwa „Kółek rolniczych za rok 1909. Lwów 1910. Nakład Zarządu głównego Towarzystwa „Kółek rolniczych". Czcionkami Drukarni polskiej.

Liga pomocy przemysłowej. Sprawozdanie za czas od 15 sierpnia 1908 do 1. stycznia 1910. Lwów 1910. Nakładem Ligi pomocy przemysłowsj. Drukarnia udziałowa.

Oba powyższe sprawozdania mające wielkie znaczenia w sprawie ekonomicznego rozwoju naszego kraju zasługują na baczną uwagę, zapoznają nas bowiem z działalnością dwu towarzystw, mających na swym celu rozwój dobrobytu.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

20

Talerz z kawałkiem mięsa był jeszcze na tem miejscu, na którem go postawiła. To dopiero przypomniało biednemu dziecku, że jeszcze nie jadła śniadania. Za późno już jednak było siadać do jedzenia, a zresztą nie mogłaby przełknąć ani jednego kawałka. Podniosła talerzyk i schowała go w swym pokoiku. Potem szybko zbiegła na dół.

Wszyscy byli już przy pracy, gdy weszła do pralni. Pani Lambert nie zrobiła jej jednak żadnej uwagi. Zazwyczaj bowiem pierwsza stawała do pracy, a przytem była grzeczna, posłuszna i stawała się bardzo zręczną pracownicą. Od dłuższego już czasu pralnia nie miała tak dobrej prasowaczki. Koło czwartej godziny właścicielka napełniła koszyk bielizną, przypięła do niego rachunek i poleciła Ludwice i Julii, by zaniosły go klijentce. Drogę do przebycia miały dość długą. Obie prasowaczki dopiero przed piątą wróciły z pustym koszem. Pani Lambert wzięła się znowu do napełniania go bielizną.

— No, dosyć tego! — zaprotestowała Julia swym ochrypłym, krzykliwym głosem. — Cóż to, pani się zdaje, żeśmy się ubrały w siedmiomilowe buty.

— Jeżeli nie pójdziecie zaraz — odpowiedziała właścicielka — to kiedy wrócicie? Już noc się zbliża!

— Więc cóż z tego. Jestem zmordowana! Muszę, do dyabła, choć tchu trochę złapać. Konie omnibusowe mają więcej wygody, niż ja!

I siadła, by odpocząć, lecz w swej opryskliwości nie dała spokoju Ludwice, która stała.

— A ty nie chcesz usiąść, lecz pamiętaj, że ja ciebie nie będę niosła.

Na to wezwanie usiadła i Ludwika. Przez kilka chwil nie było nic innego słychać, jak tylko szmer żelazek, prowadzonych po bieliźnie. Pani Lambert po przygotowaniu koszyka wzięła się także do prasowania. Nagle Helena zanuciła dla rozweselenia wszystkich jakąś piosenkę, lecz w tej chwili przerwała jej Julia.

— Chodźmy! — rzekła wstając, widocznie już wypoczęta.

Pani Lambert podeszła do koszyka z miną poważną i surową.

— Jest to bielizna pani Radoux... — oznajmiła.

— Ach! — wyrwało się Ludwice.

Przyrzekła sobie nie wchodzić nigdy do mieszkania notaryuszowej.

„Zatrzymam się o kilka kroków przed domem — myślała — i usiądę na ławce pod pretekstem, że jestem zmęczona... Jeżeli będzie potrzeba, dam cokolwiek Julii, a ona już sama doniesie bieliznę...“

Tymczasem właścicielka przestrzegała dalej:

— Zalecam wam jak największą grzeczność... Niech zachowanie wasze zatrze pamięć o postępku Ewy...

— Niech pani się nie boi... — odparła Julia swym andrusowskim akcentem.

Wzięła koszyk z jednej strony, Ludwika z drugiej i obie prasowaczki wyszły szybko z rozgrzanego silnie pokoju do ciemnego i zimnego korytarza. Przebiegły szybko dziedziniec i weszły w drugą sień, wychodzącą na ulicę. W przejściu rzuciły okiem do pokoju stróżki i ujrzały, jak matka Ladroule siedzi z butelką w ręku i pełnym kieliszkiem. Julia swem jedynem prawem okiem przeczytała z daleka etykietę na butelce:

— Malaga! I nam należałoby się nią orzeźwić w tej naszej rozpalonej dziurze.

Gdy tylko obydwie prasowaczki znalazły się na ulicy Laugier, natychmiast z restauracyi, leżącej na przeciwko, wyszedł jakiś niski, otyły, o podejrzanej minie mężczyzna. Był to drugi z ajentów, przeznaczonych do śledzenia Ludwiki. Jednocześnie z pobliża stojącej dorożki wysiadał elegancki mężczyzna. Prasowaczki, trzymając kosz za uszy, zeszły na środek ulicy i ruszyły w stronę zewnętrznego bulwaru. Ajent, śledzący je w odległości dwudziestu kroków, szedł po prawym chodniku. Mężczyzna z dorożki, trzymając się w tej samej prawie odległości, udał się za niemi lewym chodnikiem. Na placu Champerret obydwaj mężczyźni z obawy, by im w tłumie przechodniów i powozów nie zniknęły prasowaczki, zbliżyli się do nich, przyśpieszając kroków.

Przez pewien czas szli tak prawie razem, po wyjściu jednak na opustoszały i słabo oświetlony bulwar Bineau, nieznany mężczyzna i ajent puścili naprzód młode dziewczęta. Nie dochodząc jednak ulicy, przy której mieszkali państwo Radoux, mężczyzna i ajent nagle się zatrzymali. Prasowaczki zatrzymały się również, stawiając kosz z bielizną na ziemi.

— Omdlewam — rzekła Ludwika do swej towarzyszki — muszę odpocząć. I siadła na ławce.

Biedne dziecko mówiło prawdę, mimo iż ułożyło to sobie przed wyjściem z pralni. Jeżeli klijentka, do której szła, nie należała do dawnych jej znajomych, to z pewnością nie zatrzymywałaby się w drodze. Dla spełnienia obowiązku odbyłaby kurs dwa razy tak długi. Była jednak w istocie zmęczona. Niespodziewana wizyta Piotra i rozmowa z nim, bardzo ją zdenerwowały. A przytem od samego rana była na czczo. Czuła się tak osłabioną, iż chwilami kręciło się jej w głowie. Jeżeliby stojąc teraz zamknęła oczy, to z pewnością upadłaby na ulicy.

— Rzeczywiście, nie świetnie wyglądasz — stwierdziła Julia.

— Nie wiem, czy będę miała siły dojść aż do domu pani Radoux — rzekła znowu młoda panna.

— A co będzie z koszem? Będziemy w nim spały na ulicy.

— Nie mogłabyś zanieść bielizny sama?

— Nieść sama! Dobre sobie! Ładne masz pomysły! Może myślisz, że jestem herkulesem i sama dam sobie radę z takim ciężarem!

— Chętnie bym ci co dała...

— Naprzykład co? Niech się naprzód dowiem.

— Franka.

— Franeczka? Doskonale. Odpoczywaj tu, moja pociecho, a ja się sama prędko uwinę.

Młoda panna wyjęła z portmonetki franka i wręczyła go Julii, która dalej paplała:

— Nie wstydź się, moja mała. Jeżeli co dodasz, to przyniosę ci czegoś na pokrzepienie sił, za dwa susy pieczonych maronów i bułkę z serem.

— Dziękuję... Nic nie potrzebuję. Będę cię tu oczekiwała.

— Dobrze! Wkrótce wrócę.

I Julia, biorąc pod pachę koszyk, poszła z nim lekko, jakby nie niosła żadnego ciężaru. Ta młoda, siedmnastoletnia dziewczyna, wychudzona i brzydka, nie mająca na kościach nic oprócz skóry, odznaczała się jednak dziwną, prawdziwie końską siłą i wytrzymałością.

Niebo było zachmurzone. Ludwika, siedząc na ławce, czuła zimno; ogarniało ją nieprzezwyciężone pragnienie snu. Ta chęć snu miała w sobie wiele wspólnego z myślą o śmierci. Młoda panna marzyła o tem, by nic teraz nie myśleć, nic nie czuć. Umysł jej, wyczerpany cierpieniem, odmawiał posłuszeństwa, a stan moralny działał i na fizyczny, organizm jej bowiem pozbawiony już był sił i wszelkiej odporności. Znała już to pragnienie unicestwienia się. Doświadczyła go w dzień odejścia od państwa de Lagunan. Dotknięta w swej miłości i dumie, zrozpaczona, że nie może pojąć tego, co się z nią stało, chciała zapomnieć, że żyje, pragnęła tylko zapomnienia wszystkiego, pogrążenia się w śnie, choćby ten sen miał być wieczny. Obecnie jeszcze raz wszystko w niej, myśl i ciało zostało pokonane. Znajdowała się w stanie najzupełniejszego wyczerpania. Tajemnica, którą ciągle była otoczona, przerażała ją, a jeszcze więcej denerwowała.

— Czy to prawda, że tę sprawę chcą wyjaśnić?... Czy im to się uda?... Wydawało jej się to coraz bardziej zagmatwanem i nieprzeniknionem. Karol Turner, ten nieznany zły duch, prześladował ją ciągle swą dziwną nienawiścią. Po złamaniu jej życia nastawał teraz na życie Piotra. Na samą myśl tę czuła, jak w głowie wszystko się jej kręci. Zdawało się jej, że głowa jej pęka, że myśli te rozsadzą jej czaszkę. By nie oszaleć, starała się myśleć o czemś innem, lecz było to dla niej niemożliwością.

— Proszę pani!...

Podskoczyła i obróciła się. Ktoś mówił do niej. Ktoś siedział za nią z drugiej strony ławki. Została jak oszołomiona, poznając pana de Lagunan. Był to w istocie baron, który śledził ją ciągle od ulicy Laugier. Czekał na nią przez dwie godziny w dorożce, nie wiedząc o której wychodzi, zdecydowany był przytem nie opuszczać swego posterunku, choćby do północy, jeżeliby tego zaszła potrzeba. Nie mógł iść do niej ani do pralni, ani do mieszkania. Trzeba było urządzić wszystko tak, aby wyszło, iż spotyka ją niby przypadkowo, zacząć z nią rozmowę i rzucić jej taką przynętę, na którą złapie się bezwarunkowo.

— Do dyabła! Nie można tutaj chybić! — rozmyślał „neurastenik“. — Jeżeli jej nie opanuję, jeżeli to dziecko będzie mi się opierało, to ładnie się złapię. Zapłacę za swą niezręczność samochodem! Ciężko byłoby mi jechać na nim!

Twarz jego, zmarszczona już cokolwiek, by utrzymać w oku monokl, zmarszczyła się jeszcze więcej na myśl, coby powiedziała pani de Lagunan, gdyby musiała kupić podobną drobnostkę Karolowi Turnerowi.

— Ech! To Karol Turner będzie mnie ją kupował — dodał w myśli, by nabrać otuchy. — Przecież ta mała nie będzie mi stawiała żadnych trudności! Prasowaczka!

Raul de Lagunan był przystojnym mężczyzną i miał szczęście do kobiet. Miewał dawniej i teraz jeszcze miał dużo powodzenia w wielkim świecie. Jakże mógł wątpić o zdobyciu biednej pracownicy! Teraz, gdy był sam na sam z Ludwiką, w cieniu drzew i zmroku wieczornego, był prawie pewien swego zwycięstwa.

Przez całą drogę idąc za młodą panną, rozmyślał nad sposobem, w jakiby odsunąć od niej jej towarzyszkę. Nie mając jednak wcale sprytu, nic nie wymyślił. Lecz los mu przyszedł z pomocą, gdyż obie dziewczyny same się rozłączyły. Z cylindrem więc w ręku, z rozwartem szeroko okiem za szkłem monoklu, udał zdziwienie.

— Więc się nie omyliłem! Pani rzeczywiście jest panną Dubois.

Tymczasem Julia doszła już do domu państwa Radoux i dzwoniła do drzwi. Otworzył jej służący.

— Ach! — rzekł. — Praczka!

I stając na schodach, zawołał:

— Maryo! To praczka!

— Niech idzie! — odpowiedział głos kobiecy. — Tylko prędko!

Julia poszła. Pokojówka, przechylona przez poręcz, niecierpliwiła się.

— Pani już czeka. Dlaczego tak późno?

Młoda prasowaczka nic nie odpowiedziała. Po wejściu na pierwsze piętro poszła za pokojówką do pokoju pani Radoux. Na widok koszyka, notaryuszo-

wa w koronkowym peniuarze przybrała majestatyczną postawę, przez co wydała się jeszcze wyższą i szerszą.

— Wreszcie! — rzekła tonem a la Ludwik XIV.

Julia postawiła koszyk na podłodze, a pokojówka szybko schwyciła za płótno, pokrywające bieliznę.

— Ach! — zawołały jednocześnie i prasowaczka i pokojówka, która zaraz dodała:

— No, to nie bardzo pięknie wygląda!

— Tego już za wiele! — uniosła się notaryuszowa.

Falbana wspaniałej spódnicy haftowanej, którą pani Lambert położyła na wierzchu, aby się nie pogniotła, powalana była ciemnemi plamami. Jakiś samochód przejeżdżający ochlapał cały koszyk, tak iż krople błota przedostały się przez płótno na bieliznę.

— Odniosę ją zaraz — rzekła praczka.

— Ależ panno — irytowała się notaryuszowa — ja właśnie na tę spódnicę czekałam, by ją wziąć na siebie! Idę z wizytami! Muszę ją mieć koniecznie.

— A więc niech pani ją weźmie taką, jaką jest — odparła Julia.

— Taką, jaką jest! Czy panna głowę straciła?

Dziewczyna oglądała uważnie plamy.

— Może będę mogła zaradzić na to tutaj — rzekła. — Dość łatwo wyprać falbanę, nie mocząc całej spódnicy. Lecz czy dostanę tu żelazko do prasowania?

— Te, które my mamy, są za duże — wyjaśniła pokojówka.

— Widzę więc, że spódnica moja powróci znowu na ulicę Laugier!

— A jeżelibym ja ją zaraz odniosła? — zaproponowała Julia.

— Co panna rozumie przez zaraz?

— Półtorej godziny, tyle czasu potrzeba, by iść, zrobić to i wrócić.

— Będzie już za późno.

Julia zrobiła ruch, że nic już nie może na to poradzić.

— To się nazywa porządek! — nie ustawała wymawiać notaryuszowa... — Spódnicę tę powinnam mieć już dawno... Pani Lambert przyrzekła mi, że będę ją miała o czwartej... Wyczekuję jej z niecierpliwością i dostaję pokrytą błotem!

Praczka stała w milczeniu.

— Wygląda to tak, jakby panna zrobiła to umyślnie — mówiła dalej pani Radoux.

— Nie, proszę pani — odrzekła Julia — nie zrobiłam tego umyślnie.

— W takim razie panna chyba szła przez całą drogę po rynsztokach?... A może przewróciła się panna z koszykiem pod dorożkę?... Nie mogę tego pojąć!... I co ja teraz mam zrobić bez spódnicy?... Niech panna mówi, co ja mam teraz robić!

Julia wzruszyła ramionami na znak, że nie ma żadnej odpowiedzi. Musiała się już zmuszać, by być grzeczną. Nadęta a zarazem zrozpaczona mina pani Radoux, opryskliwy i płaczliwy jej ton, działały praczce na nerwy, które i tak były pochopne do wybuchu.

— Panna nie odpowiada? — nie milkła notaryuszowa. — To jest dobre sobie! Zrobić coś źle i nawet za to nie przeprosić.

— Przepraszam, proszę pani... — rzekła spokojnie Julia.

— Takim śmiesznym tonem!

Teraz już zbrakło prasowaczce cierpliwości.

— Przecież nie mogę płakać z tego powodu! — odparła.

— Co? Jak? — oburzyła się pani Radoux.

Pokojówka wyjmowała w milczeniu bieliznę z koszyka i składała ją na łóżku. Scena ta bawiła ją i radowała.

— Tyle hałasu z powodu odrobinę błota na spódnicy! — rzekła lekceważąco Julia.

Notaryuszowa pobladła z gniewu. Wargi jej drżały. Nie mogła mówić.

— Och! och! — jękła tylko.

Palcem wskazywała na drzwi Julii.

— Bardzo dobrze! — dogadywała teraz praczka, biorąc pusty koszyk. — Jeżeli będzie miała pani plamy na spódnicy, to nie potrzeba zadzierać sukni aż do pasa, by je pokazywać!

Pani Radoux zdołała wykrztusić z siebie:

— Wyjść!

Pokojówka udała, że staje w obronie swej pani i mówiła:

— Proszę wyjść! Chodźmy! Proszę iść!

Julia skierowała się do drzwi, odpowiadając:

— Dobrze! dobrze! A kto niema drugiej spódnicy na zmianę, niech nie robi takich nadętych min! Och! la, la! Co za wyprawa! Nawet matka Ladroule znalazłaby w swej szafie porządniejszą garderobę!

Ze schodów dorzuciła jeszcze:

— Słyszycie, jak tam rży ta stara klacz!

I rzeczywiście pani Radoux tupała w pokoju, rzucając ze złości jakieś gardłowe dźwięki, podobne do lekkiego rżenia. Złapała wreszcie tchu i zdołała już mówić.

Pobiegła czemprędzej na schody i krzykła:

— Panna mnie popamięta!

— Zamknij swą jadaczkę! — odpowiedziała jej Julia. — Naleci ci do niej much!

Na hałas ten nadbiegł służący.

— Co się stało? — zaniepokoił się.

— Stało się to, że spódnica bardzo jest powalana... A pani jest bardzo wymagająca co do swej spodniej części... Jakaś dawna, stara tancerka z Moulin-Rouge...

— Ach, ty ladacznico! — wołała notaryuszowa, zapominając ze złości o swej godności.

Julia wychodziła już na ulicę. Na pożegnanie dodała jeszcze swym apaszowskim językiem:

— Cicho, stara kwoko! Siadaj na jajach, bo ci ucieknę.

I wyszła, nie śpiesząc się, by spotkać Ludwikę.

Nauczycielka była jeszcze razem z Raulem de Lagunan.

Gdy baron podszedł do niej, zaczynając rozmowę, Ludwika zerwała się zaraz ze swego miejsca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

LOGOGRYF ZGŁOSKOWY.

Ułożył K. Skirmunt, Szemetowszczyzna.

Z podanych zgłosek złożyć szereg wyrazów, których początkowe głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko francuskiego poety, a końcowe, czytane w tym samym porządku, nazwisko najznakomitszego z polskich wieszczów.

Zgłoski: ci, ci, ci, e, go, go, gram, he, i, kac, li, mow, ni, nie, niec, o, o, ra, rek, rże, si, stro, tu, u, wa, wrucz, zra.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto, pod którem Napoleon pobił Austryaków. 2. Semicki szczep rasy kaukaskiej. 3. Słynny rabin XVII wieku (rodem z Wilna). 4. Mieszkaniec Europy. 5. Naród. panujący we Włoszech w r. 489 po Chr. 6. Koński głos. 7. Nazwisko jednego z członków policyi petersburskiej w ostatnich czasach. 8. Wyznawcy obrządku greckiego, pozostający w jedności z kościołem rzymskim. 9. Nazwa gazety. 10. Miasteczko powiatowe w gubernii wołyńskiej.

LOGOGRYF.

Ułożył Z. Mischel, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem znaczeniu, środkowy rząd pionowy i poziomy da nam pseudonim polskiej poetki.

```
         □
      —  □  —
   —  —  □  —  —
□  □  □  □  □  □  □
   —  —  □  —  —
      —  □  —
         □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Niemczech. 3. Miasto w Japonii. 4. Szukany wyraz. 5. Współczesny artysta-malarz. 6. Owad. 7. Samogłoska.

ZADANIE DO PRZESTAWIENIA.

Ułożył K. J. Sokołowski, Śniatyn.

Z liter, zawartych w wyrazach:

ac, Sicz, słowiki, krawiecki, Mińsk.

Utworzyć nazwiska trzech najznakomitszych poetów polskich.

ARYTMOGRAF.

Ułożył Kamil Kaim, Kraków.

Cyfry zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko zmarłej autorki.

5	22	2	16
26	2	13	2
7	21	2	20
22	2	21	2
2	21	23	20
23	13	2	21
21	32	18	2
22	21	2	22
5	13	7	21
29	23	16	2
22	5	20	23
19	2	13	2
23	9	28	22
16	7	20	23
2	20	20	2

Znaczenie wyrazów: 1. Imię biblijne. 2. Kapłan buddyjski. 3. Płaskowzgórze w Azyi środkowej. 4. Miejscowość na wybrzeżu morza Adryatyckiego. 5. Arcykapłan izraelski. 6. Kalif. 7. Miasto nad morzem Bałtyckiem. 8. Znana polska potrawa. 9. Naczelnik plemienia arabskiego. 10. Ptak drapieżny nocny. 11. Filozof grecki. 12. Rzeka w Rosyi. 13. Postój wojska w czasie pochodu. 14. Napój. 15. Imię żeńskie.

LOGOGRYF.

Ułożył J. Menczak, Przemyśl.

Litery odpowiednio odgadniętych wyrazów. utworzą w pierwszym rzędzie pionowym, czytanym z góry na dół, nazwisko polskiego współczesnego pisarza, w trzecim tytuł jego dzieła.

```
□ — □ — —
□ — □ — —
□ — □ — —
□ — □ — —
□ — □ — —
```

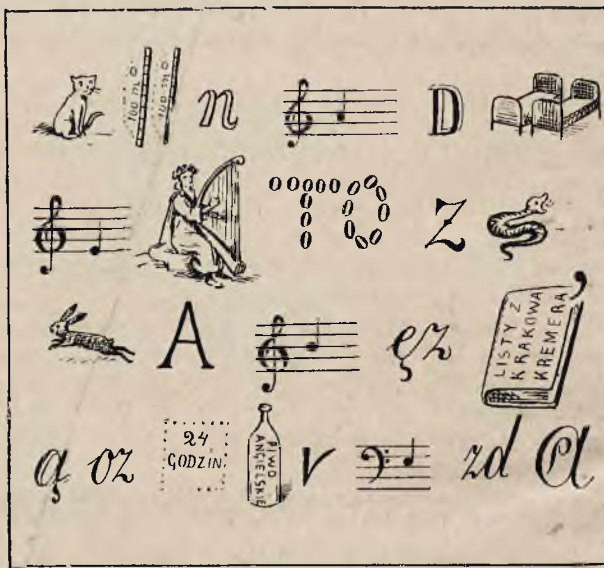
Znaczenie wyrazów: 1. Znane u nas drzewo. 2. Imię żeńskie. 3. Roślina amerykańska. 4. Folwark w Ameryce. 5. Bożek grecki.

SZARADA.

Ułożył J. K. Jaruszewski, Kraków.

Pierwsze wprost, dawne puszcz litewskich zwierzę
Wspak, postać żeńska z bibli wszystkim znana,
Druga wprost, mrucząc cicho odmawia pacierze,
Wspak znowu, bywa dalszym ciągiem mowy;
Całość na drogach bitych wciąż bywa słyszana,
Zwłaszcza w dniach targu, gdy się wzmaga ruch kołowy.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Jerzego Załawskiego: Zwycięzca.*

„AUTO“

Kraków, plac Szczepański L. 2 Telefon Nr. 107

Wyłączne zastępstwo **na Galicyę Aust. Daimler'a** wszelkie przybory automobilowe. — Pneumatyki, Benzyna, Oliwa, fabryczny skład angielskich przyborów sportowych. — Tennis, Piłka nożna Hockej, Golf. — Sport turystyczny letni i zimowy.

Galic. Auto Garage Ska z ogran. odpow.

Oficyalna Garage Galicyjskiego Klubu Automobilowego. Pierwszy a najlepszy fachowy warsztat reperacyjny wykonuje takowe pod gwarancyą. Przyjmuje garagowanie wozów

Kraków, Smoleńsk L. 29.

Rok założenia 1900 PIERWSZORZĘDNY Rok założenia 1900

ZAKŁAD KRAWIECKI

NA ZAMÓWIENIA

Jedyny skład ubrań gotowych

wyrobu krajowego.

Kraków ul. Floryańska 7, tuż przy Rynku
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 (gdzie Cent. Kawiarnia)

Związek katolic. krawców

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.



GRAMOFON TOW. AKCYJNEGO LONDYN.

LWÓW Sykstuska 2, Tel. 2033/II.

Jeneralny zastępca dla Galicyi, Bukowiny i Śląska

JÓZEF WEKSLER

KRAKÓW Grodzka 71. Telefon 641.

poleca swój bogato wyposażony skład **prawdziwych gramofonów** i płyt z piszącym aniołkiem. — Dlaczego **prawdziwy gramofon z piszącym aniołkiem** wszędzie jest lubiany mimo, że istnieje wiele naśladownictw pod różnemi mianami

Bo oryg. Gramofon z piszącym aniołkiem trwa wiecznie i nigdy się nie psuje,
Bo publiczność kupiwszy raz bezwartościowy aparat, nabywa później oryg. Gramofon, jako jedynie doskonały w swoim rodzaju i poleca go dalej znajomym.
Bo oryg. Gramofon z piszącym aniołkiem gra bez szmeru, wyraźnie i przyjemnie,
Bo oryg. Gramofon z piszącym aniołkiem gra zapomocą igły i bez igły,
Bo prawdziwe płyty z piszącym aniołkiem mają zdjęcia we wszystkich językach i w największym wyborze pierwszorzędnych artystów w świecie,
Bo prawdziwe płyty z piszącym aniołkiem nie charczą i można na nich i 1000 razy grać.

Aparat koncertowy i 10 płyt kosztuje kor. 60—.

Naprawy i przeróbki z patefonów na **gramofony** we własnym warsztacie policza się jak najtaniej.

Katalogi wysyłam darmo i opłatnie.

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolnić

TUTKI CYGARETOWE
FRAMOS

z watą „Salvesol“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

wata „Salvesol“

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średniomocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. — Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia **nikotyną**, powinien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „Salvesol“. Oryginalny pakiecik waty „Salvesol“ wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.

1000 sztuk tutek „Framos“ Kor. 3—
10 cygarniczek 1 Kor. 20 hal.
Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 halerzy

Zakład przemysłowy wyrobów papieru „Noris“

Mr. W. Bełdowski, Kraków



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 759.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca. granitu i marmuru.

Podejmuje się wykonania **grobowców** w miejscu i na prowincyi.

STRZELBY



Jednolufki	od Kor.	26·—
Dubeltówki	„ „	35·—
Floberty	„ „	8·50
Pistolety	„ „	2·—
Rewolwery	„ „	5·—

Naprawy możliwie najtaniej. Bogato illustrowany Cennik darmo i opłatnie.

F. DUŠEK
fabryka broni
w Opočno Nr. 485.
a. d. Staatsbahn. Czechy.



Jeden elektroplaque złoty zegarek płaski z metal. cyferblat. wraz z łańcuszk. **tylko K 4·70.**

Proszę zażądać bogato illustrowanego cennika zegarów, biżuteryi, instrumentów muzycznych i przyborów zegarmistrzowskich.

Ignacy Cypres

Kraków, Floryańska 49.

Uznane jako najlepsze

Specyalności gumowe!

Nowość! „OLLA“ z marką gwarancyjną! Wyrób najlepszy! Za tuzin Kor. 2·—, 3·—, 4·—, 5·—, 6·—.

Guma reform dla Panów: Za sztukę Kor. 2. Stale do użycia!

4 interesujące wzory za Kor. 1·— (w markach).
Broszura z illustr. cennikiem darmo.
W zamkniętej kopercie za przesłaniem marki 20 hal.

N. S. Herzog, Wien 17/3, Hernalserstrasse 79.

SINGERA „66“ najnowsza i najdoskonalsza maszyna do szycia

ORYGINALNE SINGERA MASZYNA DO SZYCIA

SINGERA Maszyny nabyć można li tylko w naszych składach

Singer Co. Tow. Akc. Maszyn do szycia

Kraków, ul. Szpitalna L. 40, vis á vis teatru.

Fabryka lalek, oraz Klinika, Kraków, Wolska 1
wysyła za zaliczką odwrotnie każde zamówienie.

Lalki z włosami do czesania naszego wyrobu są najmilszą zabawką dla dziewczątek w każdym wieku.



Wielk. ctm.	30	34	36	39	43	48	50	56	60	65	71	80
Cena Kor.	2·40	3·30	3·80	5.—	6·—	8·—	10·—	12·—	14·—	17·—	20·—	24.—

z rzęsami od 20 do 50 hal. więcej.

Instalacye elektryczne

K&C

ŚWIATŁA — SIŁY — SYGNALIZACYI

PROJEKTUJĄ I WYKONUJĄ **INŻYNIEROWIE KNAUS & CZAJKOWSKI**

we Lwowie, ul. Kopernika L. 26 Telefon Nr. 40.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie